

ODGŁOSY

ROK XX NR 50 (1044)
11 GRUDNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



Foto: J. Mirosław

TADEUSZ JASIŃSKI

I TAK SCHODZIMY CORAZ GŁĘBIEJ

— Było to z pierwszego na drugiego października ubiegłego roku. Mielimy za sobą już spore przeżycia. O 1 w nocy wyjechaliśmy do góry. Kiedy wychodziliśmy z naszych kabin, zaraz mieli wsiadać do nich koledzy z następnej zmiany. Mijam się z przodowym Winiarskim i mówię: — Tomek, nie pobakasz ty dzisiaj, nie popalisz ty, bracie, bo cała dyrekcja z Mysłowic i Lublina na dnie jest i na ręce patrzy.

— Powiedział Czyżewski do mnie, że dziś wszystko się zadecyduje. Ze mną, jako przodowym, było nas pięciu. Już rozumiałem co się święci na mojej zmianie, tym bardziej że z dołu, razem z Tadkiem wyjechał sztygar Józef Orzeł i odbył z nami krótkie szkolenie. Powtarzał co, to jest kurzawka, co ona może zrobić, co może być i jak mamy się ostrożnie zachować. Od tej chwili są większe rygory, nie samowolnie robić nie można, zastrzeżenie jest wielkie, bo zbliża się robota specjalna. Ale wiedzieliśmy, że grupie Tadka Czyżewskiego poszło dobrze. Tyle metrów zeszli w dół z tym próbnym wierceniem dna szybu i nic, tylko kamień napotkali.

Zużyliśmy to, że przyjdzie się narobić, kiedy taki opór, ale paniki w nas nie było. Dyrektor kombinatu Aleksander Babczyński, nasz dyrektor z Mysłowic Stanisław Gąsior i wszyscy z nadzoru w dobrych humorach byli, kiedy Tadkowi tak dobrze poszło, a obaj wiertnicy — Kazimierz Belczyk i Zbyszek Majsiuk głęboko już weszli ze świdrami i nie się nie pokazało. Znaczący się, że będzie można śmiało iść głębiej. Mielimy wiercić od 1 do 7 rano. Cieczko szło, bo ten krzemień po drodze.

— Nie wyobrażam sobie, gdybyśmy tak pojechali dalej, a przedtem nie wiedzieli co tam jest pod nami, no, to denaci wszyscy. W sekundzie denaci. Trzymałem to wiertło i myślałem sobie: Zbyszu, musisz na wyczucie, musisz ryzykować. To jest 60, a może i więcej atmosfer! Na przykład 6 atmosfer, a co z człowieka może zrobić, a co dopiero taka siła! To jest po prostu, no, jak wybuch wulkanu, jak Wezuwiusz! W sekundzie, tego nie można sobie wyobrazić, co by się wtedy działo, jedno jest pewne, że wszystko byłoby zatopione i wypchnęłoby nas do góry, no, tylko tru-

py by wypłynęły nasze. Tego nie można sobie wyobrazić, co by się działo.

Tak rozmawiali ze mną po zesłorocznym drugim październiku doświadczeni górnicy, trzej spośród tych, którzy budują pierwszą kopalnię w Lubelskim Zagłębiu Węglowym, nazywaną w dokumentach i roboczym języku pilotująco-wydobywcą. W roku 1980 nowe Zagłębie — które do końca naszego stulecia będzie miało takie znaczenie, jak budujący się i bogacący od wieków Śląsk — ma dać krajowi cały milion ton kamiennego węgla. Pierwszy milion, a ziemia tego okręgu kryje tych ton 42 miliardy. Rozmawiali więc ze mną trzej budowniczy po wspomnianej dacie, gdy wrażenia były całkiem świeże i przed kilku dniami. Dwidzielna będzie tedy ich opowieść, ich trójgłos niech odda obraz tego, co zdarzyło się, ale więcej już zdarzyć się nie powinno. Opowiadają dwaj przodowi górnicy, którzy kierowali swoimi brygadami na pamiętnych

Dalszy ciąg na str. 3

Zbigniew Wojciechowski

TRZY DNI U PHILIPSA

Chłopak ma na sobie czerwoną koszulkę z umieszczonym na plecach napisem „Kaszub Breda”, białe spodnie, piłkarskie getry, w tych samych kolorach, zaś na nogach gumowe „korki”. Płowa czupryna starannie uczesana. W rękę trzyma owinięte w celofan wiązanki białych i czerwonych róż. Kwiaty są mikroskopijne, dlatego w każdej, oddzielnej białej i oddzielnej czerwonej wiązance, tych róż jest po kilkadziesiąt. Obok niego stoi zaferowany, przejęty rolą działacz Komitetu Olimpijskiego Polonii Holenderskiej. To spogląda na chłopca, to znów zderwanym, rozbieganym wzrokiem bobruje wśród piłkarzy szukając Zbigniewa Bońka.

— Gdzie wasz kapitan? — pyta zawodników, którzy nie bacząc na gesty, jakimi próbuje ich zatrzymać, niosąc wypchane sprzętem, czerwone torby z napisem RTS-Widzew, wolno kierują się w stronę szklanych drzwi. — Poczekajcie! — działy słowem nakładania zawodników do powrotu. — Zaraz będzie przemówienie! Czekamy tylko na kapitana.

Po chwili jest kapitan, a za nim odcinający się ubiorem od całej ekipy kierownik Głapiński i trener Waligóra.

„W imieniu Komitetu Olimpijskiego Polonii Holenderskiej z Eredy witam serdecznie wszystkich was, kochani na ziemi holenderskiej i życzę sukcesów”. — Prezes mówi krótko, z twardym akcentem, ale płynnie, widać, że nie raz już tę formułę powitalną powtarzał przy innych okazjach. — „A teraz nasz junior, który, tak jak i wy, kopie piłkę, wręczy kapitanowi symboliczną wiązankę biało-czerwonych kwiatów”. — Chłopak pochodzi do Bońka, którego obserwował od dłuższego czasu, wpatrzony, pełen podziwu i nieśmiało wręcza bukiet. . .

Jesteśmy już w autokarze. Podobnie jak podczas poprzedniego wyjazdu do Manchesteru, ostatni odcinek

drogi pokonujemy autobusem. Do Manchesteru jechaliśmy z Londynu, gdyż w tym czasie krajowa komunikacja lotnicza strajkowała. Do Eindhoven jedziemy z Amsterdamu. Ale nastrój w autokarze odmienny od tamtej pierwszej podróży. Może dlatego, że wyprawa do Anglii była pierwszą pucharową wyprawą Widzewa i wszyscy wiedzieli, że wielka przygoda — Cup UEFA, dopiero się zaczyna. Teraz zaś, po porażce, wysokiej przegranej w Łodzi w pierwszym meczu z PSV, wszyscy czuli, przewidywali, choć nie mówili o tym głośno, że ta przygoda się kończy.

Za oknem jest ciemno. Migają tylko latarnie oświetlające drogę, białe reflektory samochodów jadących z przeciwka i czerwone tylne światła wyprzedzających nas maszyn. Stoimy w korku. Niełatwo z bocznej drogi skręcającej z głównego traktu, wyjechać na trójstrumieniową autostradę. Piłkarze zmezczeni podróżą zasypiają. Palić w autokarze nie wolno. Wyglądam przez okno. Jednopiętrowe, tradycyjne, ze spadzistymi dachami domki, tworzą całe osiedla, które z kolei składają się na większe aglomeracje. Dużo sklepów meblowych. Raz po raz mijamy zmyślnie

Dalszy ciąg na str. 5

BOGDA MADEJ

STRONA 11

FAKO

EUGENIUSZ IWANICKI

STRONA 4

MLECZNY PIERŚCIEN

ZBIGNIEW S. NOWAK

ŻYCIE JEST FORMĄ ISTNIENIA BIAŁKA...

STRONA 12

FILM

WFO — ROK SUKCESÓW

Z oceną fabularnych filmów kinowych i telewizyjnych nie ma problemów. Od czasopism specjalistycznych począwszy poprzez tygodniki społeczno-kulturalne do prasy codziennej otrzymujemy szeroki wachlarz opinii; od szkieł eseiistycznych recenzji do notek informacyjnych. Z rzadka wśród tego zestawu wartościującego spotykamy się z oceną filmów niefabularnych: oświatowych, dokumentalnych, popularno-naukowych itp. Taka sytuacja jest tym bardziej niezrozumiała, że produkcja tego rodzaju filmów stanowi znaczącą część potencjału polskiej kinematografii.

Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach pojawiają się rozważania zastępcze. Są nimi — przy całkowitej umowności tego określenia — rozmaite festiwalowe, przeglądy, sympozja popularno-naukowe itp. zarówno w skali krajowej jak i międzynarodowej. Wysiłek intelektualny i organizacyjny tysięcy ludzi znajduje na tym forum swoje ukoronowanie. Sformułowane tam oceny są na ogół obiektywne i kompetentne, przynoszą satysfakcję twórcom i przynajmniej na jakiś czas skupiają uwagę szerokiej publiczności.

Nie więc dziwnego, że te powszechnie akceptowane kryteria przymierzamy do efektów działania łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Placówka ta, produkując ok. 170 filmów rocznie, zajmuje czołową pozycję w kraju. Kierowana od roku przez młodego, dynamicznego i pełnego inwencji dyrektora ZBIGNIEWA GODLEWSKIEGO uzyskuje również doskonałe wyniki pod względem jakości swej produkcji. Dość powiedzieć, że filmy WFO zdobyły w 1977 roku 10 nagród na festiwalach zagranicznych i 35 nagród na festiwalach i przeglądach krajowych. Fakty te wystawiają najlepszą opinię działającą i związaną z Wytwornią twórczym realizatorem, słowem — wszystkim, którzy mają bezpośredni bądź pośredni wpływ na uzyskanie efektów.

Przeglądając listy tytułów filmów wyprodukowanych przez WFO zwraca uwagę ich tematyczna różnorodność. Bylibyśmy w błędzie szukając tu ukierunkowań specjalizujących, nawet w odniesieniu do filmów oświatowych, jak sugerowałyby to tytuły. Nie jest to zarzut, lecz stwierdzenie faktu, który z kolei wynika z zapotrzebowania i dominującej pozycji na krajowym rynku. W takiej sytuacji trzeba robić „wszystko” i mimo iż jest to bardziej uciążliwe niż uprawa wąskospecjalistycznego polecia, może przynieść dodatkowe satysfakcje, jakie również owa wszechstronność przynosi. Dzięki temu mogliśmy oglądać filmy ze znakiem WFO zarówno poświęcone tematyce oświatowej, jak i filmy popularno-naukowe, dydaktyczne, z zakresu historii i współczesności kultury, religii (znakomite filmy Leszka Skrzydła) techniki, sportu, wiele filmów o tematyce społeczno-politycznej, a także filmy dla dzieci i młodzieży. Wśród nich zaś prawdziwe lokomotywy ciągnące za sobą sznur nagród, jak filmy Karola Marcjaka „Praca serca”, Andrzeja Papużńskiego „Bykowi chwala” i Bogdana Dziworskiego „Hokej”, które zdobyły po osiem nagród na międzynarodowych festiwalach.

W tegorocznych konfronta-

cjach z innymi wytwórniami w skali krajowej najefektywniej określiły pozycję WFO dwie imprezy: XVII Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie i VI Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych w Łodzi. W Krakowie nagrodzono reżyserów Dziworskiego, Zukowskiego, Brzozowską, Vogta. W Łodzi nagrody główne przypadły filmom „Ziemia” w reżyserii Tamary Soloniewicz i „Feliks Dzierżyński” w reżyserii Andrzeja Szczygła (zoboy także nagrody w Leningradzie, a ostatnio w Lipsku) oraz nagroda specjalna za „Dekalog” dla L. Skrzydła. Na VI Przeglądzie szczególnie cennym wyróżnieniem dla WFO była nagroda za najlepszy zestaw filmów, świadcząca nie tylko o najlepszych filmach wytwórni, ale o wyrównanym poziomie wszystkich pozycji zgłoszonych do konkursu.

Listę nagrodzonych i wyróżnionych autorów w WFO można by długo ciągnąć, chociażby mi tylko o ulamkową ilustrację „roku sukcesów”. „Bardziej może interesujące dla czytelnika będzie przedstawienie niektórych planów wytwórni na rok przyszły. Wśród kontynuacji dotychczasowych zamierzeń zwraca uwagę rozszerzenie współpracy filmowców z naukowcami, mające na celu nie tylko popularyzację nauki, lecz jak się zakłada, rozszerzenie zakresu naukowej penetracji, dokumentowania dorobku naukowego, szczególnie z zakresu badań kompleksowych. Planuje się więc udział realizatorów z WFO w wyprawach naukowych polskich uczonych. M. in. na Ocean Atlantyczny statkiem „Prof. Siedlecki”, gdzie grupa uczonych z krajów socjalistycznych będzie pracować nad tematem: w poszukiwaniu białka. Inna wyprawa, to zorganizowana przez Akademię Nauk ZSRR penetracja naukowa Oceanu Spokojnego, na którą zaproszono polskich naukowców i filmowców. WFO zamierza również wziąć udział w stworzeniu filmowej dokumentacji i popularyzacji wspólnego programu wielu krajów — „ocalenia Bałtyku”.

Inny cykl (obok ciekawie zapowiadającego się cyklu filmów o wybitnych twórcach polskiej literatury: Prusa; Kopcińskiego, Zapolską, Orzeszkową, Rey, Słowacki, Norwid poświęcony będzie sylwetkom wybitnych Polaków. Przygotowuje się scenariusze filmów o Bolesławie Bierucie, Wandzie Wasilewskiej, Józefie Wincentym Witosie. Łódzian szczególnie mogą zainteresować przygotowania do filmu o bardzo popularnej w naszym mieście, niedawno zmarłej aktorce Jadwidze Andrzejewskiej.

Jest jeszcze jeden aspekt działania wytwórni, o którym na ogół się nie wspomina. I być może samo kierownictwo WFO przyjmuje go z mieszanymi uczuciami. Otóż wielu reżyserów przechodzi z dokumentu do realizacji filmów fabularnych. Np. Zygmunt Skonieczny („Latarnik”) Wojciech Fiwek („Córka delegata”), Wojciech Wiszniewski, czy wcześniej Ryszard Rydzewski i Piotr Andrzejew. Oczywiście ich odejście jest stratą dla wytwórni, ale niewątpliwym pożytkiem dla kinematografii jako całości.

ALEKSANDER GORCZYŃSKI

KOMUNIKAT

Uprzejmie zawiadamiamy naszych Czytelników i Współpracowników o zmianie adresu naszej redakcji. Od dnia 6 GRUDNIA br. brzmi on: Redakcja „Odgłosów”, 90-438, Łódź, ul. MIKIEWICZA 12, tel. 619-75, 680-99.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WISŁAW JAŻDŹYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redakcja techniczna), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji). Stała współpraca: IAN BAĞIŃSKI, ANDRZEJ BIAŁEJ, TADJUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, JERZY PANASEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

PROSZĘ O GŁOS

HASŁO: REALIZM SOCJALISTYCZNY

Co to jest „realizm socjalistyczny”? Kiedy rozpoczął się jego rozwój? W jakich krajach osiągnął on najwyższy stopień? Dlaczego w naszym kraju nie ma zbyt wielu zwolenników? Są to pytania, na które wielu czytelników da, prawdopodobnie, odpowiedź bardzo szybka i autorytatywną. W większości przypadków zabrzmi ona przypuszczalnie tak: „jest to kierunek sztuki radzieckiej, obowiązujący od 1934 roku, kiedy został proklamowany na Zjeździe Pisarzy przez Maksyma Gorkiego, „który powinien ukazywać świat nie takim, jakim jest, ale takim, jakim być powinien... w Polsce program realizmu socjalistycznego wprowadzono w 1948 roku, podczas tzw. Zjazdu Szczecińskiego ZLP; stanowił styl oficjalny w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych... niekiedy jako realizm socjalistyczny określa się sztukę krajów socjalistycznych, nie włączając jej z określoną estetyką”.

Zupełnie inaczej na te pytania odpowie czytelnik bułgarski, czeński czy też radziecki. Podejmując próbę chociaż częściowego wyjaśnienia przyczyn tego stanu rzeczy, spróbujemy jak pojęcie „realizmu socjalistycznego”, jego genezę i perspektywy określać opierając się na Instytucie Badań Literackich PAN „Słownik terminów literackich”. Autor hasła „realizm socjalistyczny” (M. Głowiński) nie widzi przed nim żadnych perspektyw i pisze o czymś, co jest już tylko przeszłością. Nie znajdujemy tam, niestety, wymaganej w tego typu wydawnictwach, naukowej definicji pojęcia. Znajdujemy natomiast osądzenie realizmu socjalistycznego od czci i wiary, z użyciem sądów kategorycznych i ostentacyjnych. Zacytowaliśmy je już na samym wstępie programu wydziału lat nie przetuzumaczonej funkcjonalnej w literaturze światowej. Przy jednoczesnym braku prac naukowych polskich autorów, musimy on zadowolić się powierzchownymi sądami, że podstawowymi założeniami programowymi tego kierunku literackiego było a) określenie jako wypaczenie „kultu jednostki”. A w tym czasie w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie przetuzumaczonej funkcjonalnej w literaturze światowej. Przy jednoczesnym braku prac naukowych polskich autorów, musimy on zadowolić się powierzchownymi sądami, że podstawowymi założeniami programowymi tego kierunku literackiego było a) określenie jako wypaczenie „kultu jednostki”. A w tym czasie w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie przetuzumaczonej funkcjonalnej w literaturze światowej.

docekalą się jeszcze poważnych, pryncypialnych ocen z marksistowską postawą metodologiczną. Mimo że od pamiętnego grzebania realizmu socjalistycznego upłynęło ponad dwadzieścia lat. Hasło „realizm socjalistyczny” rozpoczyna się od stwierdzenia sugerującego, że jest to kierunek tylko w sztuce radzieckiej i że został on administracyjnie wprowadzony w 1934 roku. Ten chwyt pozwala autorowi dojść do równie nieprawdziwego wniosku, że realizm socjalistyczny w Polsce to kopia radzieckiego, narzucona naszym pisarzom piętnaście lat później.

Jako prawdziwą można tu tylko przyjąć jedną informację — w roku 1934 w ZSRR wystąpiły próby administracyjnego podporządkowania doradczym potrzebom wielu dziedzin humanistyki. Spotkało to również i pisarzy, którzy już od wielu lat z dużym powodzeniem tworzyli podwaliny realizmu socjalistycznego. Na długo przed 1934 rokiem napisane zostały takie utwory jak „Matka” M. Gorkiego, „Kłeska” A. Fiedajewa, „Tragedia optymistyczna” W. Wiszniewskiego, „Czapajew” W. Furmanowa. Utwory te nie lansowały schematów pozytywnych, nie wprowadzały taniego optymizmu, ani też nie ukazywały zamiast rzeczywistości realnej — rzeczywistości pożądanego bohatera pozytywnego, którego działalność musi być uwieczniona sukcesem, a tym bardziej sukcesem obliczonym na efekt doradczy. Odrotnie. Wystarczy przypomnieć tylko wymienione wyżej utwory, aby z całym przekonaniem stwierdzić, że bohaterowie pozytywni często ponosili klęskę, a nawet kończyli tragicznie. Byli to jednak n o w i bohaterowie; w ich dążeniach i działalności tkwił optymizm historyczny twórców.

Również i w Polsce zainteresowanie realizmem socjalistycznym zaczęło się nie w latach pięćdziesiątych, a co najmniej ćwierć wieku wcześniej. I tu należy przypomnieć M. Głowińskiemu, że ten kierunek literacki nie został u nas urzędowo zadekretowany. Sytuacja była akurat odwrotna. Omawia to choćby książka Mariana Sępłnia „Ze stanowiska lewicowego” (1975). M. Głowiński zaś o tym nawet nie wspomina. Mianem realizmu socjalistycznego określa on zespół negatywnych zjawisk społeczno-politycznych pierwszej połowy lat pięćdziesiątych.

Nie jest on w swych „ocenach” jednak zbyt odkrywczy. Padły one

z ust wielu krytyków i „specjalistów” od literatury już w latach 1956-1958. Tamtych weryfikatorów można tłumaczyć w pewnym stopniu dużym zniechęceniem i rozgoryczeniem — będącymi pochodną wielu błędów i nieuczynnych decyzji w polityce kulturalnej pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, a także poważnym zamętem ideologicznym panującym w tym czasie w naukach humanistycznych. Autorów „Słownika...”, wydanego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych obowiązują jednak podejście naukowe, a nie emocjonalno-znaczkowskie. Nazywają przecież swoje oszczerstwo „wadecum polonisty”. Chodzi nam wszystkim dziś o to, by każdy polonista był przekonany, że trudno jest budować socjalizm bez literatury i sztuki socjalistycznej i by świadom swojej odpowiedzialności za jej upowszechnianie. A to, że w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych popełniliśmy błędy (podobnie jak i pozostałe kraje socjalistyczne) wiele błędów, że w sposób uproszczony i często prymitywny szafowaliśmy pojęciem „realizmu socjalistycznego”, nie oznacza absolutnie, że powinniśmy z niego zrezygnować i pozostawić jedynie jako straszak w słowniku określenie terminów literackich.

Przypomnijmy, że na początku lat pięćdziesiątych, tuż po tak krytycznie ocenianym przez M. Głowińskiego Zjeździe Szczecińskim ZLP, jeden z najbardziej w tym czasie aktywnych politycznych i popularnych pisarzy określał ten kierunek literacki tak jak powinno się określać i dzisiaj w poważnych pracach teoretyczno-literackich: „...prawda oczywiście jest... że metoda realizmu socjalistycznego nie jest katalogiem formulek i przepisów na pisanie arcydzieł. Nie jest w ogóle żadnym katalogiem. Jest tylko... drogowskazem marksistowskim w sztuce, a więc i w literaturze. W jaki zaś sposób te wytyczne zostaną w utworze zrealizowane: grafomański, mierny, poprawny, znakomity czy genialny — to już zależy tylko i wyłącznie od twórcy, od jego wiedzy, poznawczej, świadomości ideologicznej, od zakresu osobistych doświadczeń życiowych, od indywidualnych cech charakteru, od talentu wreszcie i od stopnia dojrzałości artystycznej”.

M. Głowiński natomiast próbuje nam wnieść, że realizm socjalistyczny to katalog krepujących pisarską przepiórkę i formulek, zmuszających pisać utwory „mówiące o aktualnych sprawach społecznych i politycznych w sposób, który zyskuje aprobatę” (czyż?) W „Słowniku terminów literackich” jest jeszcze wiele innych

kich” jest jeszcze wiele innych hasel opracowanych przez M. Głowińskiego (np. schematyzm, literatura zaangażowana, literatura produkcyjna, powieść tendencyjna, bohater pozytywny, bohater negatywny, w których oprócz różnych błędów rzeczowych odczuwa się wyraźnie negatywny stosunek do jak najbardziej uzasadnionych z punktu widzenia metodologii marksistowskiej postulatów pod adresem literatury socjalistycznej.

Oddzielne zagadnienie stanowi przytoczona przez M. Głowińskiego przy wielu hasłach bibliografia. Od razu zastrzeżenie — wykaz literatury jest nie przy wszystkich hasłach, mimo że prace związane z danym tematem istnieją nawet w języku polskim i to często w dużym i o-dach. Następne zastrzeżenie: w większości przypadków w bardzo skromnych wykazach literatury przeważają pozycje przestarzałe (z reguły wydane do roku 1963). Szczególnie jednak razi przydatność tej literatury. Zanalizujemy to znów na przykładzie hasła „realizm socjalistyczny”. Na siedem umieszczonych w wykazie literatury prac aż cztery pochodzą z nie najszczęśliwszych dla rozwoju literatury lat 1956-1953 — najpóźniej wydana datuje się rokiem 1965. Wymienione prace zawierają masę błędów i uproszczeń, wielokrotnie były poważnie krytykowane i nie odpowiadają absolutnie obecnemu etapowi rozwoju realizmu socjalistycznego. W wykazie tym trzema się w oczy brak pracy H. Markiewicz „Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny. 1944-1953”, będącej dla czytelnika z drugiej połowy lat siedemdziesiątych doskonałym źródłem wiedzy o doboru teoretycznym i zahamowaniach (głównie pozaliterackich) tego kierunku w naszym kraju w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Nie wymienia M. Głowiński również prac i jednego z największych rzeczowników realizmu socjalistycznego w Polsce — S. Żółkiewskiego. Brakuje tu szczególnie jego rozprawy teoretycznej „Perspektywy literatury XX wieku”, bardzo dobrze znanej i wysoko ocenianej również poza granicami naszego kraju. Z autorów zagranicznych nie zauważono za nazwiskami, jak: M. Chrapczenko, D. Markow, S. Pietrow, S. Suczko — bez których to dorobku niemożliwa jest dzisiaj poważna dyskusja o realizmie socjalistycznym.

ZBIGNIEW ANTOSZEWSKI

KONTAKTY

STUDENCKA WSPÓŁPRACA

Coraz szersze kręgi zatacza współpraca Uniwersytetu Łódzkiego z zaprzyjaźnionymi uczelniami za granicą. Wymienić należałoby tu między innymi wszechstronne kontakty z uniwersytetami w Tbilisi (ZSRR), Szegedzie (Węgry), Greifswald (NRD), a także z ośrodkami akademickimi w Bradford (W. Brytania) i Caen (Francja). Kontakty te nie ograniczają się wyłącznie do wymiany doświadczeń naukowo-badawczych, wymiany kadry naukowej i studentów. Wizytówką Uniwersytetu Łódzkiego są przecież także jego zespoły artystyczne czy sportowe.

O tym jak ważną rolę w nawiązywaniu i utrwalaniu międzynarodowych kontaktów przypisują im władze uczelni świadczą między innymi zagraniczne wojaże Studenckiego Teatru „Pstrąg”, działającego pod egidą Rady Uczelnianej SZSP UL.

W ubiegłym roku „Pstrąg” wziął udział w wymianie kulturalnej Uniwersytetu Łódzkiego z Uniwersytetem w Bradford przyjmując najpierw u siebie tamtejszą grupę teatralną, następnie zaś — w maju 1978 roku — składającą wizytę w Anglii. W tym roku „Pstrąg” wyjeżdża do Francji na zaproszenie uniwersyteckiego teatru w Caen (Normandia). Program wizyty jest tak bogaty, że śmiało można powie-

dzieć, iż będzie to największa dotąd — jeśli idzie o łódzką środowisko akademickie — eskapada — studenckich artystów. Potrwa ona dwa tygodnie. W tym czasie ST „Pstrąg” zaprezentuje francuskiej publiczności dwa widowiska: „W poszukiwaniu koloru” i nagrodzony na festiwalu w Parmie monodram „Ziemia Jałowa” (wg poematu T. S. Eliota).

Do Francji wyjedzie również oparty na XVI-wiecznym dziele Andrzeja Frycza-Modrzewskiego spektakl „O poprawie Rzeczypospolitej”, którego premierę mieliśmy niedawno okazje oglądać na Małej Scenie Teatru im. Jaracza.

Grupa łódzkich artystów da we Francji w sumie około dziesięciu przedstawień: w Teatrze Miejskim i w liczącym około tysiąc miejsc uniwersyteckim amfiteatrze w Caen oraz w Paryżu. Każdy spektakl ST „Pstrąg” będzie poprzedzony projekcją filmu na temat historii i współczesności Uniwersytetu Łódzkiego i jego studenckiego teatru, filmu zrealizowanego przez łódzki ośrodek telewizyjny. Ekipa filmowców LOTV towarzyszy

będzie również trzydziestoosobowej ekipie artystów. Celem filmowców będzie realizacja filmów poświęconych nie tylko występom łódzian w Caen i Paryżu, ale również życiu uniwersytetu i miasta Caen.

Program pobytu uzupełnią między innymi również: wy-

kład prof. dra Stanisława Kaszyńskiego z Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UL, dotyczący historii teatru studenckiego w Polsce oraz spotkania z przedstawicielami władz miasta Caen uniwersytetu i z dziennikarzami.

(T. S.)

„TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA O PUCHAR WINA”

Pod patronatem Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Sródmieście, Ośrodka Sztuki i Kultury Młodych Łódzkiego Domu Kultury oraz Koła Młodych przy Łódzkim Oddziale Związków Literatów Polskich — organizują „Turniej Jednego Wiersza o Puchar Wina”.

Turniej jest organizowany dla młodych środowisk literackich Łodzi i odbędzie się dnia 12 grudnia br. o godzinie 17.30 w lokalu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich przy ul. Mickiewicza 8, III piętro.

Wśród nagród przewidziano nagrodę specjalną za szczególne wartości ideowe wiersza.

Zwycięzca Turnieju otrzyma puchar wypełniony przednim winem, który będzie musiał wychylić na oczach zebranych.

Organizatorzy serdecznie zapraszają miłośników poezji.



Foto: W. Parys

EUGENIUSZ IWANICKI

MLECZNY PIERŚCIEŃ

Mleko stanowi jeden z podstawowych składników naszego codziennego pożywienia, a zapotrzebowanie na jego przetwory nieustannie wzrasta. Jego wartości odżywcze są bezsporne. Zawiera ono tłuszcz, drobne ilości lecytyny i cholesterolu, kazeinę, albuminy i globuliny, cukier mlekowy — laktozę, a ponadto wapń, potas, fosfor i prawie wszystkie witaminy. Z punktu widzenia higieny żywienia, mleko jest niezbędnym produktem dla prawidłowego wzrostu i rozwoju ludzkiego organizmu. Są kraje, które specjalizują się w przetwórstwie mleczarskim, a jego eksport przynosi poważne dochody (Szwajcaria, Holandia). Nasze rodzime doświadczenia w tej dziedzinie są dużo skromniejsze, choć ilość produkowanego mleka jest weale niemała. Jednakże nadal duże jego ilości pozostają w gospodarstwach chłopskich i służą nie tylko jako pożywność dla ludzi, lecz stanowią nieodzowny składnik pokarmu dla cieląt i trzody chlewnej. Takie przeznaczenie mleka jest dowodem marnotrawstwa. Dla celów gospodarczych powinny być pasze mlekozastępcze, choćby na przykład Mlekopan H. Nasze mleczarstwo znajduje się w przededniu poważnych przeobrażeń, płynących przez kraj mleczna rzeka, w niedługim czasie zostanie skierowana we właściwym kierunku.

Województwo miejskie łódzkie jest terenem bardziej konsumpcyjnym niżli produkcyjnym. Dlatego w okresie zimowym do mleczarni sprowadza się mleko z województw ościennych. W województwie zakłady mleczarskie znajdują się w Łodzi, Pabianicach, Ozorkowie i Głownie. Oprócz tego są trzy zakłady pomocnicze o ograniczonej produkcji: w Kraszewie, Nowosolnej i w Łodzi, przy ul. Gdańskiej. Mleko z województwa jest dostarczane do 80 zlewni przez 300 wozaków, którzy zabierają je wprost z chłopskich zagrod. Niestety, nasze województwo jest najmniejsze w kraju (powierzchnia użytkowa rolnych stanowią 0,5 proc. powierzchni użytków w kraju) co rzutuje na rozwój rolnictwa i hodo-łi (skup mleka wynosi zaledwie 1 proc. w skali krajowej). Jednakże osiągnięte przez przemysł mleczarski wyniki skupu, plasują nas

wśród najlepszych. Zaważyła tu gospodarność i rozwój specjalizacji. Dla przykładu należy podać, że skup mleka od jednej krowy statystycznej w woj. miejskim łódzkim wynosił w br. 2.200 litrów, gdy średnia krajowa osiągnęła zaledwie 1.450 litrów.

Spółdzielczość mleczarska naszego województwa odbiera mleko od 13 tys. dostawców, a umów wieloletnich zawarto już około czterech tysięcy. Rozwija się gospodarstwo specjalistyczne, z każdym rokiem przybywa więcej chętnych, którzy chcą produkować mleko jako podstawowy produkt swojego gospodarstwa. W ciągu najbliższych trzech lat takich specjalistycznych gospodarstw powstanie w województwie około dwóch tysięcy. Oczywiście, plany sięgają dalej, ostateczną formą specjalizacji stana się nie tylko gospodarstwo indywidualne ale całe wsie. W ramach budowy wokół Łodzi „pierścienia mlecznego” do 1980 roku przewiduje się budowę 470 nowych obór, w których będzie przebywać do 30 krow w każdej. To dla gospodarstw indywidualnych, bowiem sektor uspołeczniony także rozpocznie budowę takich obór wielostanowiskowych. Będą to obory w pełni zmechanizowane, zaopatrzone w dojarki Alfa — Lowall, z mechanicznym usuwaniem obornika, automatycznymi półdlami, wentylacją, mikroklimatem.

Skoro mówimy o specjalizacji, to trzeba wspomnieć, że wytypowano szereg wsi, które pracują obecnie nad planami kompleksowej specjalizacji: w rejonie gminy Głowno wybrano Miesiołnie, Chlebowice i Janów, w gminie Pabianice — Górkę Pabianicką, Świętniki, w gminie Brójec — wieś Wardzyń. W tych miejscowościach ostro zabrano się do pracy, a wyniki, jakie otrzymano, są zadowalające, bowiem już potawa rolników tam mieszkających przystąpiła do zorganizowanej, specjalistycznej produkcji mleka. Oczywiście spółdzielczość mleczarska podjęła z nimi szeroko zakrojoną współpracę, zaopatrując rolników w środki mlekozastępcze, paszę, sprzęt oraz w środki do produkcji samego mleka (mieszanka B, C, śruty i otręby pszenne, Mlekopan H i Mlekomiks). Szczególnie przydatny okazał się tu

Mlekopan H, który dopiero od trzech lat wszedł na dobre w zestaw odżywczy dla cieląt. Jeszcze nie tak dawno rolnicy niechętnie używali tego pełnowartościowego i odżywczego produktu, a dziś zabiegają o jego przydział, (1 kg Mlekopanu H dodaje się do 8 litrów wody). Jest to niezastąpiona karma dla cieląt i małych prosiąt.

Spółdzielczość mleczarska zaopatruje rolników także w dojarki mechaniczne, produkowane na licencji Alfa — Lowall, przez Zjednoczone Zakłady „Archimedes” we Wrocławiu. Są to urządzenia jedno- i dwustanowiskowe.

Zapotrzebowanie złożone przez Wojewódzką Spółdzielnię Mleczarską, jako koordynatora spraw obrotu dojórkami w kraju do Łódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Sprzętem Rolniczym „Agroma” — mówi naczelnik wydziału skupu i produkcji mleka mgr inż. Krzysztof Wiśniewski — opiewało na 18 tys. dojarek dwustanowiskowych i 5 tys. dojarek jednostanowiskowych. Wrocławski „Archimedes” może nam dać zaledwie 10 tys. sztuk tych pierwszych i 3 tys. sztuk drugich. Jest to przyszłowiowa kropka w morzu naszych potrzeb.

Przypomnijmy: jeden z dyrektorów Zjednoczonych Zakładów „Archimedes” na łamach „Zielonego Sztandaru” deklarował wyprodukować w ciągu roku 25 tys. sztuk dojarek, przy planie 120 tys. sztuk w okresie obecnej pięcioletki. Biorąc poważnie niepoważne oświadczenie, spółdzielczość mleczarska rozwinęła kampanię gospodarstw specjalistycznych. Dojarki to poważna oszczędność czasu, a przy hodowli 20 — 30 krow różnego dojenia nie wchodzi w ogóle w rachubę. Zresztą jest także inny aspekt szybkiego i powszechnego stosowania dojarek mechanicznych: to higiena w czasie udoju, rzecz weale niebagatelna.

Byłoby sprawą wielce kłopotliwą, gdyby w wyniku tych trudności budowa „pierścienia mlecznego” wokół Łodzi została opóźniona lub wręcz zahamowana. Łódź, czeka na mleko i jego przetwory, zakłady mleczarskie przerabiają 600 tys. litrów dziennie produkując wyroby mleczarskie

nieatrwałe, przeznaczone do codziennej konsumpcji. Łódź pochłania więc ogromne ilości mleka spożywczego, śmietany spożywczej, napojów mlecznych, twarogów i twarożków.

— Niestety — mówi z-ca prezesa WSM mgr inż. Mirosław Fabian — gorzej przedstawia się sprawa masła. Nasza produkcja nie pokrywa potrzeb tak wielkiej aglomeracji jaką jest Łódź, której zapotrzebowanie wynosi 20 ton masła dziennie. Z naszych mleczarni otrzymujemy zaledwie 8, najwyżej 10 ton tego produktu. Szczególnie odczuwalny deficyt występuje zimą, kiedy skup spada do 170 tys. litrów dziennie. A więc pozostały surowiec, to jest około 500 tys. litrów jesteśmy zmuszeni sprowadzać z województw piotrkowskiego, sieradzkiego, plockiego i skierniewickiego. Jest to około 50 proc. surowca średnio rocznie, który musimy sprowadzać do naszych zakładów mleczarskich.

Pisząc o mleku i jego przetworach, chciałbym dłużej nieco zatrzymać się przy tych ostatnich. Przeciętny konsument nie ma zbyt dużego tu wyboru. Przeważają jogurt, kefir i maślanka, oraz serki homogenizowane. Jedynie w zakładach typu „Monika” czy pijalniach można otrzymać koktajle mleczne i to w bardzo ograniczonym wyborze (z truskawką, czarną jagodą).

Po bliższe dane zwróciłem się do naczelnika wydziału produkcji WSM inż. Stanisława Fontańskiego, który jest współautorem znakomitego serka zychlińskiego pakowanego w małych kubeczkach, a który to serek od dość dawna zniknął z łódzkich sklepów mleczarskich.

— Produkujemy jogurty o różnych smakach — mówi — lecz nie mamy jak dotąd właściwych opakowań, dlatego na zewnątrz jogurty te nie czym się od siebie nie różnią. Nareszcie otrzymaliśmy już różnicowane opakowania i na każdym z nich będzie pisało jaki smak posiada zawartość takiego kubeczka. Ponadto produkujemy kefir o zawartościach tłuszczu 1,5 proc., a także mleko wzbogacone w białko. Jest to nowość, w tym roku po raz pierwszy wyszliśmy ten produkt na rynek. Niestety, nie przyjął się szampan serwatki (handlowa nazwa serwowit) jak również „Karmelinka”, która była produkowana z mleka i specjalnych zakwaszków. Ten napój jest szeroko rozpowszechniony w ZSRR, u nas nie znalazł nabywców i trzeba było z niego zrezygnować. Oprócz tego dostarczamy do handlu maślanek wzbogaconą mlekiem w opakowaniach foliowych.

Sporo kłopotu jest z serkami homogenizowanymi. Zastrzeżenia budzą wśród konsumentów ich opakowania. Obecnie sprzedawane są te serki w opakowaniach ca 250 gram, choć mamy maszyny, które mogłyby produkować je w opakowaniach mniejszych, po 150 gram. Niestety, nie mamy takich małych opakowań. Trzeba powiedzieć, że zawartość tłuszczu wynosi tu 30 proc. w suchej masie, a serek zychliński, którego dziś nie ma na rynku zawierał tego tłuszczu aż 60 proc. Obecnie nasz centralny Zarząd zamierza wprowadzić ponownie na rynek ten serek, który będzie nosił nazwę serwit zychlińskiego.

Należy wyjaśnić, że metody serwitowe polegają na wykorzystaniu wszystkich białek zawartych w mleku. Dotychczas, w produkcji tradycyjnej wykorzystywano się jedynie białka kazeinowe, pomijając białka albuminowe i globulinowe. Oczywiście, zmieni to nieco smak byłego serka zychlińskiego. Niedługo także zostanie wprowadzony do handlu jogurt czysty, bez dodatków smakowych.

Łódzka spółdzielczość mleczarska jako pierwsza w kraju wprowadziła lody w polewkach kakaowych, a w tym roku (jest to wniosek racjonalizatorski Zakładu Mleczarskiego w Łodzi) ukazały się pierwsze lody w polewie mlecznej.

Tak więc asortyment oferowanych przetworów mlecznych pomalutką wzrasta, ilości produkowane przez spółdzielczość mleczarską są poważne, od handlowców więc zależy aby w każdym sklepie spożywczym był ich dostateczny wybór. Mirosław Fabian przyrzeka, że dostarczy każdą ilość zamówioną przez łódzki handel mleka i jego przetworów, a sprawa braku jakiegoś asortymentu na rynku obciąża jedynie ludzi zajmujących się dystrybucją.

Ale mleko to nie tylko przetwory nietrwałe, jednorazowego użytku. Mleko — to także sery. Znane są sery kwasowe tzw. twarogi oraz sery podpuszczkowe, dojrzewające, zawierające tłuszcz, białko i węglowodany. Są wśród nich sery miękkie, maziowe, pomazankowe, twarde typu szwajcarskiego, sery do tarcia, sery typu holenderskiego, typu angielskiego, sery z masy parzonej oraz sery topione. W województwie miejskim łódzkim serów się nie produkuje. Co prawda nie brakuje ich w handlu, lecz ich asortyment jest uboższy.

Kiedyś było ok. 17 asortymentów serów, dziś jest zaledwie 6—7. Potrzeby rynku rosną, dynamika sprzedaży skacze w górę, czasem dochodzi do kilkunastu procent. Obecnie sprowadza się sery z województw piotrkowskiego — 200 ton rocznie i ze skier-niewickiego — 1.800 ton. Takie są potrzeby naszego województwa. A przecież łódzka spółdzielczość mleczarska zaopatruje w sery wszystkie województwa ościenne, toteż rocznie musi wyeksportować aż 3 tys. ton serów, uzupełniając powstające niedobory z województw oiszyńskiego i biostockiego. Ale smak serów uległ zmianie, zmieniła się ich konsystencja. Czyżby nagłe pogorszenie jakości?

— Popyt na sery jest duży, a zdolności produkcyjne są ograniczone — mówi z-ca dyr. d/s handlu z Zakładu Obrotu Towarowego — Henryk Wojda. — Dziś idzie się w kierunku produkcji serów wymagających szybszego dojrzewania. Np. w Łowiczu można by było w ciągu 1 m-ca wyprodukować serów gouda (dojrzewa 5 tygodni) ok. 150 ton, natomiast sera łowickiego, który dojrzewa w ciągu 2-4 tygodni w tym samym czasie można wyprodukować 300 ton. A więc nie jakość uległa pogorszeniu, zmianie uległy jedynie walory smakowe i konsystencja serów. Sery bądą codziennie służyć jakości Zakładu Odbioru Jakościowego Towaru i nie zgłoszą jak dotąd żadnych zastrzeżeń.

Sery stanowią poważną pozycję w naszym jadłospisie, są drogie, toteż kupując je chciało by się, aby posiadały te wszystkie zalety, do jakich przyzwyczailiśmy się w ciągu minionych lat. Jedyna nadzieja, że kiedy pełna para ruszy „pierścienia mleczny”, wówczas w sklepach pojawi się więcej serów typu gouda, edamski czy podlaski.

Zbierając materiał dotyczący mleka, odwiedziłem Ozorków, gdzie dobiegają końca prace przy budowie nowoczesnej proskowni mleka, wznoszonej przy pomocy własnej, specjalnej brygady robotniczej. Już ustawia się maszyny i montuje urządzenia, a w grudniu nastąpi rozruch. Stąd odjadą pierwsze tony mleka w proszku dla celów hodowlanych, owego Mlekopanu H, którym karmi się cielęta i trzodę chlewną. W rejonie woj. miejskiego łódzkiego zawsze występowała pewna nadwyżka mleka chudego, która była przerabiana na kazeinę włókienniczą. Obecnie ani jeden litr mleka nie zostanie zmarnowany. Dziennej produkcja nowej proskowni wyniesie 40 tys. litrów mleka. Oczywiście zakład mleczarski w Ozorkowie jest ważnym ogniwem w „pierścieniu mlecznym” powstającym wokół Łodzi. Stąd odchodzi 25 tys. litrów mleka dziennie, 3 tys. litrów śmietany, 4 tony twarogów dla trzech sąsiednich gmin. Jak większość zakładów mleczarskich także i ten zostanie poddany modernizacji i rozbudowie: w przyszłym roku powstanie myjnia cystern, warsztat przyzakładowy, palnia, nieco później kotłownia. Trwają przetargi o wykup półtorahektarowej działki, a wówczas będzie własne ujęcie wodne.

Ale zakład w Ozorkowie ma inny poważny kłopot: to transport. Obecnie istniejące samochody, których dysponentem jest Spółdzielnia Transportu Wiejskiego Baza Transportu Mleczarskiego w Ozorkowie, w zasadzie wystarczają zarówno do przewozu mleka do mleczarni jak i do rozwożenia jego produktów do sklepów. Piszę wystarczają, lecz jest to uwarunkowane całkowitą sprawnością tych wszystkich starów, żuków, nys, i szaf izotermicznych. Wystarczy jednak, aby któryś z wozów uległ awarii, a wówczas zacinają się problemy: jak nadążyć, poradzić, dostarczyć na czas. Cały transport mieści się na placu zakładu mleczarskiego, stwarzając niepotrzebną ciasnotę. Drobne naprawy od biedy wykonuje się w skromnym warsztacie, co większe awarie zmuszają do odstawiania samochodów do STW Oddziału Transportu Mleczarskiego w Łodzi mieszczącego się przy ul. O-miotowej. Jednakże tutaj nie zawsze wszystko odbywa się zgodnie z zamówieniem, często gina różne części z dostarczanych do naprawy samochodów.

— Kiedy ruszy proskownia — mówi kier. Bazy Transportu Mleczarskiego Jan Kamiński — musimy mieć co najmniej trzy nowe cysterny, a ponadto transport musi otrzymać własny teren, gdzie mógłbym wreszcie urządzić warsztaty z prawdziwego zdarzenia, gdzie ludzie mieliby pomieszczenie dla odpoczynku, kąpiel śniadaniowy, węzeł sanitarny. Proskownia — to dla nas dodatkowe obowiązki. Chcąc jednak te obowiązki dobrze wykonywać, musimy mieć własne zaplecze techniczne i to nie w Łodzi, ale tu w Ozorkowie. Sądzę, że Jan Kamiński miał rację: sprawa mleka w naszym województwie posiada niebagatelne znaczenie, a od sprawnego transportu zależy nie tylko ilość ale i jakość tego cennego produktu.

SPOTKANIA

TRZY DNI U PHILIPSA

Dalszy ciąg ze str. 1

oświetlone okna wystawowe, przez które widać jakby wycięte z wydawnictw reklamowych, zestawy najprzeróżniejszych mebli. Przez szybę jadącego setką autokaru nie widziałem szczegółów. Dopiero wieczorem, gdy wyszliśmy na spacer, ze zdumieniem stwierdziłem, że te gustowne witryny — jak sądziłem sklepów meblowych — są dużymi, dwa razy większymi od naszych znormalizowanych, oknami domów mieszkalnych. Holendrzy bowiem nie zakrywają swoich okien firankami, tak, że idąc ulicą można dokładnie zobaczyć, co w danej chwili robią domownicy. Odsonięty jest salon, reprezentacyjny pokój, w którym, siedząc w fotelu, czyta się gazetę, ogląda telewizję, pije kawę. Sypialnie umieszczone na piętrze mają już firanki, są zasłonięte przed ludzką ciekawością.

Eindhoven liczy 192 tysiące mieszkańców. Jest piątym pod względem liczby mieszkańców miastem Holandii po Amsterdamie, Rotterdamie, Hadze i Utrechtu, zaś cała aglomeracja okręgu Eindhoven ma 355 tysięcy ludności. Eindhoven jest starym miastem, prawa miejskie dostało wcześniej od Amsterdamu, bo w 1232 roku, z rąk księcia Henryka Brabancckiego. Amsterdam otrzymał je 43 lata później. Oprócz fabryk koncernu Philipsa jest tu fabryka samochodów DAF (obecnie produkuje się głównie wozy ciężarowe), zakłady wyrobów tytoniowych i przemysł tekstylny. Kiedy w 1891 roku Frederik Philips, bankier z miejscowości Zaltbommel, postanowił kupić dla swego syna, Gerarda, budynek garbarni w Eindhoven, by założyć wspólnie fabrykę lamp elektrycznych, nikt nie przypuszczał, że ten fakt będzie miał doniosłe znaczenie nie tylko dla rozwoju miasta, ale i całej Holandii. Za 1.211 metrów kwadratowych ziemi, budynek o wymiarach 18 na 20 metrów i jedną maszynę parową o mocy 60 koni mechanicznych zapłacił tata Philips 12.150 guldenów.

85 lat od chwili powstania firmy Philips, w 1976 roku, w największym dziś elektrycznym i elektronicznym przedsiębiorstwie na świecie pracuje 400 tys. ludzi ponad 70 różnych narodowości. Najwięcej inżynierów, techników, wysokiej klasy specjalistów, robotników pracuje w Eindhoven, gdzie oprócz zakładów ciągnących się na przestrzeni 10 kilometrów znajdują się biura koncernu. W nich urzęduje prezydent i rada nadzorcza.

O rozmiarach produkcji Philipsa, niech świadczy liczba sprzedanych w 1976 roku wyrobów na sumę 30 miliardów 435 milionów guldenów holenderskich (1 dolar — ok 2,5 guldena).

Bogaty koncern postanowił w sierpniu 1913 roku założyć klub sportowy, który oprócz zaspokajania potrzeb sportowych pracowników, miałby drużynę reklamującą wyroby Philipsa. Klub otrzymał nazwę Phi-

lips Sport Vereniging (PSV) Eindhoven. Na początku PSV nie miał sukcesów. Pierwsze mistrzostwo Holandii zespół piłkarski Philipsa zdobył w 1929 roku. Potem jeszcze parokrotnie (ostatni raz w 1976 roku) PSV był mistrzem kraju. Trzy razy zdobył Puchar Holandii. W tym roku PSV prowadzi w holenderskiej ekstraklasie i jest jednym z faworytów rozgrywek o Puchar UEFA.

Od wielu osób słyszałem opowieści o stadionie PSV, że jest jednym z najładniejszych obiektów sportowych Europy. Architektura obiektu zaskakuje. Nie jest to masywna bryła Nép-Stadionu, ani monumentalnych Luźnik, nie jest to kołos ze Stuttgartu czy Maine Road. Lekka konstrukcja jest zharmonizowana z okoliczną zabudową jednopiętrowych domów. Zewnętrzne ściany pomalowane w biało-czerwone pasy, kolory klubowe PSV. Nad wejściem podświetlony znak klubu: tarcza w biało i czerwone podłużne pasy, na tym tle biała chorągiewka ze złotym skrzyżtem. Stadion mieści 27 tysięcy widzów. Większość miejsc siedzących, wszystkie zaś miejsca — i te siedzące i stojące — są przykryte dachem. Główna trybuna jest podzielona na cztery sektory (miejsca najlepsze i najdroższe: 16 guldenów — liga, 20 guldenów — mecze międzynarodowe). Plastikowe siedziska — bo tak można nazwać półokrągłe foteliki w każdym sektorze — są pomalowane na kolory klubu. Na zmianę: sektor czerwony i biały, czerwony, biały. By było jeszcze wykwintnie — trybuna główna jest podgrzewana z góry ciepłymi lampami. Płytki boiska oświetlają oczywiście lampy Philipsa o mocy 18.000 luxów. O idealne nagłośnienie oczywiście zadbał koncern, który także zabronił umieszczania na stadionie jakiegokolwiek reklam. Jest tylko mocno oświetlona zielona murawa boiska i oddzielona siatką, wygodnie oglądająca widok publiczność. Przejście zawodników z tunelu na boisko jest osłonięte ze wszystkich stron siatką zamocowaną na kółkach, którą wysuwa się na szynach, gdy zawodnicy wchodzi lub schodzą z boiska.

Sekretarz klubu, van Gelder, oprowadza nas po pomieszczeniach pod trybunami. Zwijanie zaczynamy od pokoju klubowego pierwszej drużyny. Jest to obszerne pomieszczenie ze stolikami, fotelami, barem. Tu właśnie spotykają się zawodnicy, czytają prasę, oglądają mecze w TV, grają w karty, tu czekają po meczach na żony, tu podejmują kawę, herbatę sokami, piwem, swoich przeciwników. To jest klub piłkarzy i zespołu i oni są jego gospodarzami. Osobom spoza terenu, jeśli nie są zaproszone przez piłkarzy, nawet innym działaczom PSV, wstęp jest wzbroniony.

Sekretarz, van Gelder, pokazuje szatnię, gabinet dyżurującego podczas zawodów lekarza, magazyn urządzenia sanitarne, obok szatni — pralnia. Po każdym meczu przepoczone, zabrudzone koszulki są natych-

miast prane, suszone i prasowane, by nazajutrz, gdy zajdzie potrzeba, były gotowe do użytku. Sauny nie ma, gdyż po meczu dla zmęczonego organizmu nie jest wskazana. Sauna i gabinety odnowy są, owszem, ale w ośrodku treningowym PSV. A ten mieści się już poza miastem, w odległości 4 kilometrów od stadionu. Wszystko tu ma swój sens, jest niezwykle funkcjonalne. Oto jeszcze jeden przykład, drobiazg. Boks dla zawodników rezerwowych, trenera i masażysty są wyłożone deskami, żeby od betonu „nie ciągnęło”. Pod siedzeniami zainstalowano ogrzewanie, by zawodnikom, tym, którzy siedzą i tym, którzy spoceni zeszli z boiska, było ciepło. Powtarzam, drobiazg... a jednak ktoś o tym pomyślał.

Na zewnątrz stadionu, po prawej stronie głównego wejścia do biur PSV, znajduje się ogólnie dostępny lokal klubowy. Jest on nieco mniejszy od kawiarni w łódzkim Grand Hotelu, ale za to szykowniejszy i z barem, którego z żadnym w Łodzi barmiem równać nie można. Stoliki, foteliki, obok, we wnęce bilard. Po znakomitej kawie ze śmietanką opuszczamy lokal. Zegnamy po drodze grupę dziennikarzy holenderskich, którzy umówili się tu na rozmowę z trenerem Rijversem. Zanim wsiądziemy do fonda sekretarza van Geldera, zatrzymujemy się na chwilę przy kiosku z pamiątkami PSV. Na wystawie krawaty z wyszytą odznaką klubu, karty do gry z emblematami PSV, szalki w biało-czerwone pasy, kolorze PSV, spinki do koszul, proporcejki do samochodów (mniejsze) i większe na ścianę, nalepki, zdjęcia całego zespołu i poszczególnych zawodników. Są także ręczniki klubowe, szklanki, kubki z emblematami PSV. Interes prosperuje. Ceny wysokie. Krawat kosztuje 6 dolarów.

Kilka minut później jesteśmy już w ośrodku treningowym. Wokół lasa raczej park, gdyż drzewa rosną tu rzadziej niż w lesie. Pośród nich zielenią się soczysta trawa boiska. Jest ich — jak mówi nam nasz cicerone

— trzynastie! Podjeżdżamy do kompleksu połączonych ze sobą jednopiętrowych budynków. To centrum ośrodka. Tu są szatnie, natryski, magazyny ze sprzętem sportowym, sauna, urządzenia niezbędne do odnowy biologicznej. Z szatni jednocześnie może korzystać 200 zawodników. Oczywiście w oddzielnej części są szatnie pierwszego i drugiego zespołu, w oddzielnej rozbierają się juniorzy. Inne warunki mają zawodowcy, którym klub płaci, od których wymaga dobrej formy i dlatego stwarza jak najlepsze warunki do treningu. Inne gorsze, mają amatorzy. Pierwsza drużyna ma nie tylko swoje szatnie, saunę, ale i także swoje boisko treningowe.

Obok typowych, pełnowymiarowych boisk piłkarskich o różnej nawierzchni, plycie boiska (twardej, miękkiej — piłkarze rozgrywają spotkania na różnych plytach), są też trawiaste place do siatkówki nożnej. Kilka boisk jest oświetlonych. Można na nich trenować także wieczorem. Nie na wszystkich boiskach się trenuje. Te, które niedawno były eksploatowane, teraz „odpoczywają”, poddawane są renowacji. Ten system zmian — mówi sekretarz — pozwala nam utrzymywać zawsze w dobrym stanie każdą plytę. Chodząc po tym świetnie zaprojektowanym obiekcie znów nasuwają mi się refleksje. Przecież u nas w Łodzi, obok stadionu LKS, jest wielki park na Zdrowiu, a w nim jeszcze przed wojną pobudowane trzy boiska. Wokół stadionu w kierunku Srebrzyńskiej są trawiaste place. Można było, wykorzystując to, co już jest i przeznaczając trochę pieniędzy na niezbędne inwestycje, zbudować taki właśnie ośrodek treningowy. Że nie będzie on przy stadionie? No, to co! Wiadomo przecież, że pierwszy zespół LKS dojeżdża na treningi na stadion, własnymi samochodami. Dla zawodników żadna różnica czy zaparkują wozy przy alei Unii czy kilometr, dwa dalej. To samo powinno zrobić Widzew, który nie ma wca warunków do treningu, nie ma szans na pobudowanie boiska treningowego.

w pobliżu stadionu. Van Gelder zwraca mi uwagę na jeszcze jeden — jego zdaniem — ważny, psychologiczny aspekt sprawy.

Na plycie głównego stadionu zawodnicy powinni tylko grać. Wejście na główną, reprezentacyjną plytę stadionu powinno być świętem. Stadion nie może spowszedniać piłkarzom, muszą wiedzieć, że jest to scena, na której się nie próbuje, lecz gra spektakli w kostiumach, na oczach wielotysięcznej publiczności.

Tę opinię sekretarza potwierdził Ryszard Kowenicki, napastnik Widzewa, z którym rozmawiałem w autokarze, w drodze powrotnej z Eindhoven do Amsterdamu.

— Gdy wchodziłem na boisko w Manchesterze czy w Eindhoven i widziałem idealnie równiutką trawę, światła reflektorów, które oświetlały każdą zmarszczkę, każdą kroplę potu, to wydawało mi się, że nie się tu nie ukryje. Ze z momentem wejścia na stadion jestem aktorem widowiska i żadna, nawet najniższa, fuszka nie udaje uwadze publiczności. To mnie niesamowicie mobilizowało, uskrzydlało, dawało dodatkowe siły. Starłem się grać jak najlepiej, bo te reflektory, to boisko, na którym się gra tylko mecze — cała oprawa widowiska stwarzały taką aurę. Gdy na stadionie stoję w blasku jupiterów, oświetlony ze wszystkich stron, to czuję, że jestem jakby prześwietlony. Boję się nawet głośniejszy krzyknąć, a co dopiero zabłądzić. Wydaje się że każdy to usłyszy...

Niedługo będzie Amsterdam, samolot LOT i niebawem Warszawa i Łódź. Wracamy do kraju, do ligowej miśki, złotych i czerwonych kartek, pucharowe marzenia i sny się skończyły, a pozostała nam twarda, szara, piłkarska ligowa rzeczywistość.

ZBIGNIEW
WOJCIECHOWSKI

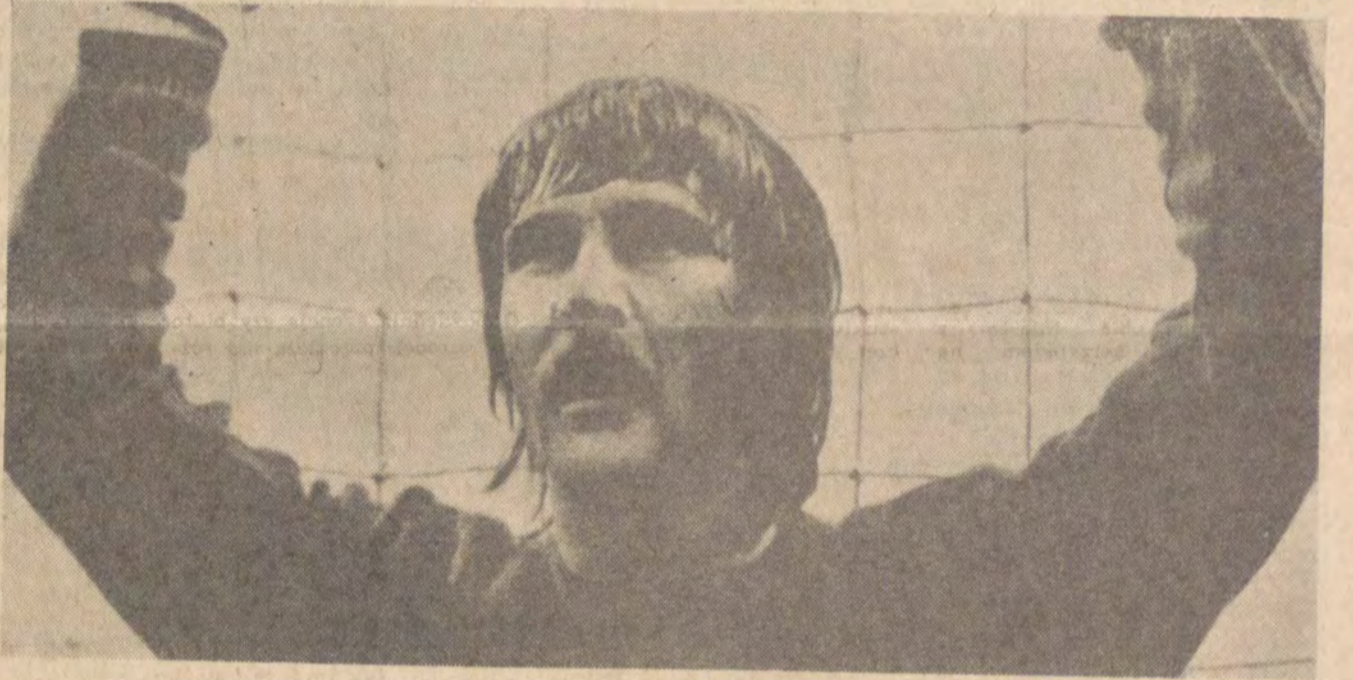


Foto: Archiwum

SPORT

BOGDA MADEJ

GWIAZDY I GWIAZDKI

Telewizja Polska w programie „Tylko w niedzielę” pokazuje od pewnego czasu zabawną audycję, w której dzieci naśladują znane gwiazdy polskiej piosenki. Dzieciaki są przeuroczo bezczelne, nie mają cienia tremy ani przed kamerami, ani przed widzami, ani przed samymi gwiazdami. Patrząc na te przeuroczo bezczelne dzieci, można tylko się zastanawiać, skąd się potem biorą ponury, stremowani i dukający przed kamerami ludzie doradzi? Ale też patrząc na te dzieci można mieć nadzieję, że polskie piosenkarstwo ma bogate rezerwy kadrowe.

W sporcie też jest podobna impreza. Jest nią spartakiada młodzieży, podczas której obok gwiazd sportu mają okazję pokazać się najmłodszy. Po każdej spartakiadzie wszyscy się cieszą, że oto rośnie kadra następców, że uznane gwiazdy sportu mają tych, którzy będą po nich odnosić sukcesy, mają potem parę lat i okazuje się, że coś z tymi następcami krucha.

Zbliżający się koniec roku sprzyja wszelkim podsumowaniom, plebiscytem i ocenom. Właśnie katowicki „Sport” ogłosił wyniki, ósmy raz już organizowanego wyboru najlepszego lekkoatlety i lekkoatletki. Impreza nazywa się „Złote kolce” i prowadzona jest w ten sposób, że każda lekkoatletka i każdy lekkoatleta otrzymuje określoną ilość punktów za swoje

starty w zawodach. W tym roku „Złote kolce” przypadły Irenie Szewińskiej i Władysławowi Kozakiewiczowi. Irena Szewińska zdobyła „Złote kolce” już po raz siódmy. Pierwszy raz zdobyła je w 1971 roku. W tym roku otrzymała 323 punkty. Na drugim miejscu uplasowała się Krystyna Kasperczykowa ze Skry Warszawa, która otrzymała 149 punktów. Różnica dość istotna.

Irena Szewińska jest fenomenem nie tylko polskiej lekkoatletyki. Kiedy zdobyła po raz dziesiąty „Złote kolce”, redakcja „Sportu” będzie musiała zrobić je z prawdziwego złota i tylko wypada życzyć polskiej sprinterze, aby ten sukces osiągnęła. Niech się katowicki „Sport” wykosztuje. Problem jednak nie w tym, problem w dystansie, jaki dzieli gwiazdę polskiej atletyki od „gwiazdek”. Podobnie zresztą wygląda sprawa wśród lekkoatletów.

Władysław Kozakiewicz otrzymał 387 punktów. Drugie miejsce zajął Jacek Wszoła z 221 punktami. Trzecie — Jan Pusty z Orkanu Poznań ze 183 punktami. Warto przypomnieć, że w 1976 roku Jacek Wszoła zdobył „Złote kolce”. W imprezie tej dwukrotnie triumfowali Władysław Komar (1971, 1972) i Bronisław Malinowski (1973, 1974). Władysław Kozakiewicz miał „Złote kolce” w 1975 roku. A co z ich następcami?

Wypowiedziała się na ten temat redakcja „Sportu”. Oto fragment komentarza sportowej gazety:

„Wśród innowacji wprowadzonych w tym roku ze specjalną troską zostali potraktowani juniorzy. Przyznano im premie za wyniki osiągnięte w ME w Doniecku, jak również w meczach międzypaństwowych. Jednym słowem — otrzymali dodatkową szansę. Niestety, nie potrafili jej wykorzystać. Fakt, że w „30” najlepszych znalazł się tylko jeden przedstawiciel tej kategorii wiekowej (Stanisław Jaskulka) oraz trzy juniorki (nb. same specjalistki skoku wwyż) jest tego wymownym dowodem. A tymczasem wielu z ich rówieśników za granicą z powodzeniem sięga nawet po najwyższe tytuły w mistrzostwach seniorów”.

Dystans między gwiazdami, a gwiazdkami można obserwować nie tylko w lekkiej atletyce. W siatkówce na przykład też. Po zajęciu czwartego miejsca przez narodową reprezentację wielu komentatorów usiłowało uspokoić kibiców tego sportu, że nie się nie stało. Należy nam nadal do czółki. Japonia, która wprawdzie zajęła trzecie miejsce, zupełnie się już nie liczy — przekonywał komentator radiowy — bo po Mistrzostwach Świata nie odmówiła swojej reprezentacji. Drużyna kubańska jest najmłodszą, a w ZSRR jest zarejestrowanych 2 miliony siatkarzy, więc jest z czego wybierać. U nas natomiast — o przewrotna logika — nie szkolono następców, nie ma kim uzupełnić reprezentacji, więc nie ma powodu do rwaną szat i rozpacz. Za pół roku będą znów Mistrzostwa Świata i wtedy wszystkim pokażemy. „Sztandar Młodych” też uspokajał, że Puchar Świata nie zakończył się klęską Polaków, ale też przyznawał lojalnie, że nie

osiągnięto sukcesu, jakiego oczekiwano. A wszystko przez kontuzję Wiesława Gawłowskiego, który jest „mózgiem” drużyny i który nie ma... następcy.

„Cale szczęście — pisze „Sztandar Młodych” — że Gawłowski jeszcze parę lat pogra. Ale co się stanie, gdy (odpuć) znów przydarzy mu się kontuzja...”

Pytanie to zadaje sobie nie tylko „Sztandar Młodych”. Trzeba zapytać dalej, czy sukces polskiej siatkówki zdopinguowały władze sportowe w tej dyscyplinie do zrywania następców dla złotej drużyny, czy też ujęcie sukcesem uspiło wszystkich? Fakty zdają się wskazywać, że niektórzy działacze ulegli zawrotowi głowy od sukcesu. Jeśli tak jest istotnie, to przyjdzie nam przez kilka chudych lat cierpliwie poczekać na lata tłuste.

W kolarstwie miniony rok też nie należał do najlepszych. W Polskim Związku Kolarskim zaszły jednak zmiany, które pozwalają sądzić, że można będzie przełamać kryzys grozący tej dyscyplinie sportu. Andrzej Trochanowski, który powołał do kadry wielu młodych zawodników, jest przekonany że kolarstwo posiada rezerwy i uważa, że równoległe do przygotowywania czółki należy troszczyć się o szkolenie rezerw. Jest to słuszny pogląd i wszystko wskazuje na to, że będzie realizowany. Zdaniem trenera Andrzeja Trochanowskiego trzeba również dbać o to, by i asy polskiego kolarstwa miały możliwość dalszych startów. I ten pogląd nie budzi wątpliwości.

W piłce nożnej natomiast nad pierwszoligowymi boiskami jasno świeci biała gwiazda z Krakowa. Tamtejsza Wisła od długiego już czasu nie prze-

grała ani jednego meczu. Co prawda ostatnio remisuje tylko, ale i to się liczy. Dlaczego Wisła tak wyraźnie odróżnia się od innych zespołów pierwszoligowych, które wzmocnienie swoje widzą głównie w transferach? Dlatego twierdzą piłkarscy komentatorzy, że klub ten opiera się na swoich wychowankach, że dba o to, aby w sukces gwiazdom przychodziły gwiazdki. Wisła szkoli piłkarską młodzież — i nie tylko — współpracuje ze szkołami, skąd czerpie utalentowaną sportową młodzież. A inni? A inni najczęściej czekają aż im jakiś prowincjonalny klub znajdzie talent, podszkoli go i przgotuje do tego, aby talent ten można było „kupić”. Nie jest to najlepsza polityka, ale jest najpopularniejsza, najszerszej stosowana.

Mówi się często, że taska kibica na pstrym koniu jeździ. Nie tylko. Kiedy Wojciech Fibak blysnął na tenisowym firmamencie tenis stał się w Polsce niezwykle popularny. Ostatnio Wojciech Fibak nie odnosił błyskotliwych sukcesów, choć — jak sam twierdzi — rok miał nie najgorszy. I oto zgasił zapal do tenisa. Gwieździe Wojciecha Fibaka nie towarzyszą tenisowe gwiazdki. Za Wojciechem Fibakiem wydaje się zionąć pustka.

Po Montrealu mówiło się, że trzeba myśleć już o Moskwie. Dziś trzeba myśleć już o tym, co będzie po Moskwie. A w piłce nożnej nie tylko o Argentynie, ale i o czerwcu 1980 roku, kiedy to we Włoszech odebrał się ME. A drogę do Włoch zagradzają nam znów Holendrzy, a obok nich NRD, Islandia i Szwajcaria. Nie będzie łatwo. Nigdzie nie będzie łatwo, jeśli nie nauczymy się myśleć o przyszłości.



Danuta Biczal-Zahnieta

WIERSZE

DANUTY BICZAL-ZAHNIETAWEJ

w przekładzie Macieja Józefa Kononowicza

DANUTA BICZAL ZAHNIETAWA, znana i ceniona przez krytykę i czytelników białoruska poetka młodszego pokolenia ukończyła Szkołę Pedagogiczną w Nowogródku, a następnie fakultet literatury białoruskiej w Instytucie Pedagogicznym w Grodnie, gdzie dotychczas mieszka i pracuje w szkolnictwie.

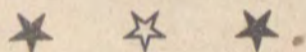
Wydała zbiory wierszy: „Dziewczęce serce” (1961), „Niemen płynie” (1964), „Zapolanki” (1967), „Dola” (1972), „Ty – to ty” (1976). Jest również autorką wierszy dla dzieci. Utwory jej na język polski przekładało wielu znanych polskich tłumaczy, publikując je w prasie literackiej i w antologiach. Danuta Biczal jest również tłumaczką wierszy polskich na język białoruski.

Wybór wierszy Danuty Biczal-Zahnietawej przygotowuje obecnie Wydawnictwo Łódzkie w układzie i opracowaniu JÓZEFA MACIEJA KONONOWICZA. Z tego tomu pochodzą prezentowane poniżej utwory.



Z wiekiem gnuśnieje się na jasnej ziemi.
Na świat się zrzędzi, na ludzi.
Czyżbyśmy kiedyś naprawdę umieli
wiosną oddechem przebudzić?

Na wargach mleko matczyne już wyschło.
Skrone się palą srebrzyście.
Nadchodzi pora — wśród dębów zbłądziwszy —
zielonym nakryć się liściem.



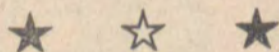
Posłuchaj—no,
jak milczą snopy,
jak wiatr w bylinach gra i śpiewa,
jaka jest skąpa w słowa łąka, —
jak trawa, milcząc, obumiera.
Stulecie minie najspokojniej.
Wszczęświa' bez buntu się odnowi.
Czemu bezwolnie i pokornie?
W przyrodzie wszystko wymierzone.
Obłoki — wnukom.
Dziadom — jamę.
Przyrody nie rozczuli lament...



Czy podarować ci rzeczki z dnem złotym,
Z zielonym brzegiem pod nieba namiotem,
Z krzakami łozy, z ptakiem, co śpiewa,
Z dniem, co się w słońcu lipcowym wygrzewa?

Wokół rzeczki spokój leniwy.
Na widnokręgu lny kwitnące.
Z drugiego krańca — drzew stadniny...
Do zachwyconych oczu zgarbiają...

Sprawiam ci tylko kłopot. I myślę,
Że nie przynoszę nic, prócz zgryzoty.
A z obietnic — jakie korzyści?
Są jeno kłamstwem dla duszy...
— A co ty?



Nie wierzę w uproszczony schemat zjawisk:
poznanie — miłość,
rozstanie — nienawiść.
Świat jest bogaty w tyle odmian uczuć,
że ich nie zliczyć, ani się nauczyć.
Czyż bezowocny byłby to wysiłek,
w myśli pomieścić sprzecznych uczuć tyle,
nieuchwytny ruch duszy nazwać słowem?
Własnego życia
szczęśliwą polowę
grałam na zmianę addagio, to scherzo...
Czy rozumiem muzykę swego serca?



Cheesz, koszulę ci wypiorę, samotny chłopcze?
Będziesz frantem — czego jeszcze się kłopotujesz?
I gdy suszę, gdy prasuję, gdy szykuje,
Chłopiec sobie gorzałeczki nie żałuje.
— Bo to trudno mi koszulę jedną wyprać?
— Bo to lekko mi dziewczynę sobie wybrać?
— Jeszcze guzik do koszuli ci przyszyję.
Gdy otoczy kołnierzykiem białym szyję,
Kiedy barwny krawat zwiąże sobie modnie,
Już się czuje jak stepowy Kozak w siodle!
Gdy się w święto przejdzie przez wieś w tej koszuli,
To niejedną do niej dziewczynę przytuli.
Kaźdej w uszko szepnie kilka ciepłych słówek...

Nie, ja sobie ot, tak, pralam tę koszulę.



Drobiazgi życia
gonią mnie, jak krę,
sciskają, ranią.

Ludzie czytają,
jak zwykłą książkę,
mój ból, czy radość.

Co mam na myśli,
to i na wargach —
sekretów nie mam.

Nazbyt poważnie
żarty dorosłych
do serca zbieram.

Popłaczę,
usnę,
zapomnę w nocy
krzywdę bolesną.

I znowu ludziom
zaglądam w oczy
ufnie jak dziecko.

ODPOWIEDŹ

Nie patrzcie na mnie
z dramatycznym gestem.
I wyrazy współczucia
są zbyteczne.

Dano mi wszystko,
czego warta jestem:
na horyzoncie bór
i w zbożu ścieżkę.

KONIKI

Na stromym urwisku
nieuchronnych spraw
przemęczone konie
wśród pachnących traw.

Ot, jeden zielony
na mojej dłoni
pije z listka rosę...
Koniki pasę.

BRATKI

Mówię sobie:
zaczekaj!
Jak do żywego czleka,
do grządkki zarosłej gęsto.

Sino i żółto na płatkach
drobnego, pełnego bratka.

Czyżby patrzyło mi w oczy
moje maleństwo?



Sam na sam z czasem,
z milczącym lasem,
ze szczodrym latem,
z całym światem
zmęczenie leczę.

Do rzeczki lecę
ze wstępną klasą.



Foto: Archiwum

Jeden ciotek Muz — niech się w tej historii nazywa Bronisław — mieszkał u państwa Gędziółków, a mieszkał skromniej niż tego wymagałaby sama cnota skromności.

Ponieważ w życiu literackim cyganeria już dawno wyszła z mody, Bronisław nie tyle może cierpiał z powodu niedostatków, ile z obawy, aby go, mimo młodego wieku, nie wzięto za „przestarzałego typa”.

Gędziółkowi nieraz rozpoczynała z nim dłuższe dyskusje na temat komornego, które nie dawały mu większej satysfakcji, a nade wszystko raziły brakiem oryginalności. Jeśli idzie o Gędziółkównę, to ta pocziwa kobiecina nigdy właściwie nie widziała należności od swojego lokatora, który zresztą wprowadził się już z tym zastrzeżeniem, że „w pierwszym miesiącu nie zapłaci z powodu wydatków na przeprowadzkę”. „Czego?” — zapytała wtedy Gędziółkówna, rozejrzawszy się bacznie po pokoju, co jednak lokator zbył delikatnym milczeniem.

Bronisław był w ogóle bardzo delikatny w obęjsku. Na to nie mogła się Gędziółkówna skarżyć. Ani awanturnik, ani człowiek bezwzględny. No, a że nie płacił...

Bronisław czasem rozsnuł przed nią niezwykle możliwości, nie szczędząc jej obfitych nadziei, czego Gędziółkówna wysłuchiwała z wyrozumiałością niewiara. Później, machając ręką, myślała — „taki to nigdy nie będzie miał pieniędzy”.

Gędziółkówna nie miała serca „wyrzucić chłopca na bruk”, ale zachowywała się z rezerwą. To znaczy, że nieraz miała nawet ochotę zanieść mu „coś z obiadu”, albo jakiś własnoręcznie przyrządzony przysmak, lecz nie czyniła tego, ponieważ jej małżonek uważał, że byłaby to przesada.

Pewnego dnia Bronisław otrzymał list pieniężny z Lublina. W liście proszono go jako lublinianina, aby zakupił wieniec na mające się odbyć uroczystości na cześć wielkiego poety. Przyjeździe delegacja w ten piękny dzień i zaniesie wieniec uroczysto, idzie tylko o to, aby wieniec był przygotowany. Jak na złość, Bronisław leży złożony chorobą.

Dawno już nie widział w takiej ilości zgromadzonych razem pieniędzy. Uderzyły na niego nowe poty. „Co mam robić?” — myślał, chowając pieniądze pod koldrę. Leżał jak w malgwie. Ponuro rozmyślał, jak postąpić. Był osłabiony i chory, nie mógł sam się wybrać do kwaciarni. Gdyby dał pieniądze gospodyni, tyle by je widział. A jeżeli wienca nie kupi, co będzie niosła uroczystość delegacji?

Nadszedł popołudniowy mrok i wtedy zjawił się kolega Milcio. Goście Bronisława bardzo się nie podobali Gędziółkównie. Pewni siebie, jak gdyby nie wtem co. Jedni tak gadali, że się im geby nie zamykały. Mówili, że są malarzami, a jak jednego poprosiła, żeby jej kuchnię wapnem wybielił, to nie umiał Milcio przyszedł prosto od palety. Ręce miał „znojone pracą”. Bronisław pomyślał, że to zesłańczie niebieski. Przez kilka chwil pozwolił, żeby go gość bawił rozmową. Leżał w głębokim milczeniu i zadumie. Wreszcie rozpoczął swoim miłym, prawie aksamitnym głosem:

— Chcę cię prosić o pewną ważną przysługę.
Wyciągnął list, pozostawiając pieniądze przecznie pod koldrą.
— To biahostka — krzyknął Milcio po przeczytaniu. — Zaraz cię wyreczę, Michale. Tylko, że ja tu wcale nie widzę pieniędzy.

Bronisław przymknął powieki.
— No więc co? — nalegał Milcio. Bronisław uśmiechnął się łagodnie.

— Przede wszystkim musi to być dzisiaj załatwione, a żeby jutro przysłał do mnie wieniec. Jak wiesz, pojutrze rozpoczynają się uroczystości.
— Doskonale! — zawołał Milcio z fantazją.

Michała zaniepokoiła ta fantazja. Po chwili wyszeptał:
— Wieniec powinien być poważny. Nieomal majestatyczny. Z boku kwiaty, a w środku może gałązki laurowe.

— Naturalnie, w środku gałązki laurowe.

Michasiowi nie podobała się ta prędka zgoda. Milcio nawet odczuł to i poprawił się natychmiast:
— Kwiaty radziłbym blade żółte, wpadające w odcień zielonawy, a żeby gałązki wawrzynu harmonizowały.

— Właśnie. Muszą harmonizować. A szary także powinny być dostosowne w barwie.

— Nie bój się, Michasiu, już ja dobrze dobię, jestem kolorystą. Tylko dawaj pieniądze.

Bronisław spojrział przerażony. Aż głowę przekrzywił, przyglądając się bacznie Milciowi.

— No, bo jeżeli chcesz, ażebym to załatwił przed zamknięciem sklepów... Bronisław powrócił do opisu wienca. Tłumaczył powoli, skąd powstał zwyczaj wienczenia, zaszedł do wieków starożytnych, porównywał

poszczególne okresy... Widać było, że chce odwiec chwilę ostateczną.

— Wszystko to ładnie, ale jeżeli chcesz, abym dzisiaj załatwił wieniec, musisz się śpieszyć.

Michał zauważył marząco:
— Ale żebyś ty nie przepił pieniędzy...

Milcio powstał z godnością.
— Przecież nie jestem świnią.
Bronisław wyciągnął pieniądze spod koldry.

Gdy Milcio uczuł pieniądze w dłoni, pierś mu podniosła się pełniejszym oddechem. Wyszedł spokojnie, zamknawszy za sobą dokładnie drzwi.

— oglaszał Milcio z rozrzucającą solidnością.

W powiększonym gronie zaczęła się zabawa na dobre. Wielu z nich widziało się po raz pierwszy w życiu.

— „Zróbmy przyjacielskie koło” — domagał się jeden ze współbiesiadników.

— Za zdrowie Bronisława! — wołał śpiewnie grafik.
Obecnie już wszyscy wiedzieli, z jakiej okazji pija.

— „I zanuemy dziś wesolo...” — domagał się w dalszym ciągu nieznanym współbiesiadnik.

— Kto to jest właściwie ten Bronisław? — zapragnął dowiedzieć

— Trudno mi powiedzieć. Właściwie znam tylko Milcia.

Bronisław nie słuchał dłużej. Rzucił się na poszukiwanie nędznika, pocieszając się jeszcze znikomymi nadziejami. Wreszcie go dopadł, lecz poznał od pierwszego wejrzenia całą prawdę. Spoglądał na Milcia w milczeniu, prawie z czułym wyrzutem i nawet nie starał się bronić. W końcu odczytał się Bronisław swoim aksamitnym głosem:
— A mówiles, że nie jesteś świnia.

Milcio wzruszył nieznacznie ramionami, jakby chciał wyjaśnić — czasem się coś tak powie bez namysłu.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

WIENIEC DLA POETY

Po kilkunastu krokach Milcio spotkał na ulicy kompana. Ów kompan momentalnie odczuł, że Milcio jest przy forsie. Od razu wystąpił z koleżeńską prośbą o pożyczkę „kilku mizernych złociszów”, ale Milcio oparł się temu stanowczo.

— Nie mam ani grosza — łął przyspieszając kroku.
Kompan pomyślał: „Jak on może tak kłamać!”

— Zegnam cię — rzekł oschle i odszedł urażony.

Milcio zastanowił się, czy by nie lepiej było wziąć taksówkę i prędzej dostać się do kwaciarni, rozumiał bowiem, jak wiele niebezpieczeństw zagraża piastowanym pieniądзом.

Było jednak już za późno. Na rogu ulicy natknął się na drugiego koleżkę, grafika, wilnianina. Był to człowiek o różowej, przyjemnie uśmiechniętej twarzy i słodkiej wymowie wschodniej. Do niego również dotarł fluid ukrytego skarbu, który promieniował z malarza.

— Chodźmy na wódkę — zaśpiewał grafik.

Milcio przeczuwał to nieszczęście. Szkoda, że nie pojechał dorożką. Teraz już wszystko przepadło. Próbowal jeszcze się bronić.

— Dzisiejszy wieczór wcale nie nadaje się do picia.

— Dlaczego? — zanucił wilnianin rozbrajająco.

— W takim razie tylko „na jednego” — skapitulował Milcio, pierwszy kierując się ku knajpie.

W godzinę później wchodzili przesadnie prostym krokiem do innego lokalu, gdzie spotkali kolegów.

— Piłemy za zdrowie Bronisława!

się inny współbiesiadnik, ale nikt tego nie wiedział oprócz Milcia, a ten nie mógł się powstrzymać od śmiechu, tak go rozbawiło to pytanie.

— Za zdrowie Bronisława — powiedział się stoickim spokojem Milcio napelniając kieliszki.

— Wczoraj było wielkie pijaństwo.

— Czyżby?

— Było nas może dwudziestu. I piiliśmy twoje zdrowie. Nawet nie wiem, dlaczego. Nie zmyślam!

Bronisław zbladł. Skąd ta nagła ochota do picia właśnie wczoraj? I dlaczego za jego zdrowie?

— Mówisz, że tyli was się zeszło?

— O, tak. Było bardzo wesolo.

Bronisław poprawił kołnierzyk. Jeżeli dwudziestu pije, to przynajmniej jeden powinien mieć pieniądze.

— Kto tam był?

Michał znowu przerwał bolesne milczenie:

— Zebyscie przynajmniej mnie trochę przystali... Choćby ćwierć butelki...

Teraz Milcio naprawdę bardzo się zawstydził.

— Jutro rozpoczynają się uroczystości.

— Wiem o tym.

— Najpóźniej do południa muszę mieć całą kwotę.

Milcio wysłuchał go wyrozumiale. Bronisław spostrzegł, jak duży jest rozdźwięk pomiędzy jego chęcią a rzeczywistością. Milcio nie czuł się dzisiaj na siłach sprostać jego śmiałym wymaganiom, ale znać było, że żył dla Bronisława współzuciele. Po chwili zaczął niesmiało tłumaczyć:

— Ty myślisz, że jemu tak zależy na twoim wieniu?

— Komu? — ryknął Bronisław.

Milcio zrozumiał, że lepiej nie czekać odpowiedzi na to pytanie. Spokojnie rozważał dalej:

— Sława, sława, mój Boże! Wieniec! Czy nie uważasz, że to grobowo we znamie? Ze to tylko ludzie dla dogodzenia własnej próżności wienca geniuszów. Jeżeli pójdziemy, Michasiu, tam my sami, zamiast wienca...

Bronisław utopił weń zabójcze spojrzenie i już bez jednego słowa pobiegł przed siebie.

Rozpoczął przeraźliwą gonitwę po mieście. Zeromadzić w ciągu jedne-

go dnia pieniądze stracone w ciągu jednej nocy — należy do bardzo wyczerpujących przedsięwzięć.

Późnym wieczorem wracał Bronisław zziębnięty, przemęczony, ale zarazem zadowolony z dokonanego dzieła. Zamówił wieniec, który miał mu odesłać jeszcze dzisiaj do domu.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że nie tego dnia jeszcze nie jadał i ten fakt bardzo mu zepsuł humor.

Trzeba było jednak odłożyć do jutra apetyt wobec niezachwianej pewności, że w kieszeni nie ma już złamanego szeląga.

Dochodząc do domu zauważył, że u gospodarzy świeci się wielka lampa nad stołem, co w stosunku do zwyczajnego oświetlenia wyglądało na iluminację. Przez okno widać było stół nakryty obrusem i kilka osób siedzących przy zastawionym stole.

— Los nie szczędił mi przykrości — pomyślał. — Będę musiał całe przyjęcie wysłuchać przez drzwi.

Kiedy wszedł do swojej izby, zaraz zjawiła się u niego Gędziółkówna, Promieniowała zadowoleniem i była szczerze wzruszona.

— Czekamy na pana, drogi panie Michasiu... Niech pan pozwoli do nas. My także chcielibyśmy... ja z mężem... Urządziliśmy na cześć pana... małe przyjęcie.

Nagle Gędziółkówna rozczuliła się i objawszy Bronisława za głowę ucałowała go w czoło.

W drzwiach stanął Gędziółek, kłaniał się i zapraszał, trzymając butelkę w ręku. Oszołomiony Bronisław tylko tyle zauważył, że we flasce była wiśniówka.

— Prosimy, prosimy!... nasz poeta... nasz poeta!... — chrząkali z pokoju podchmieleni goście.

Bronisław był tak skromny, że nie dał się długo prosić. Wszedł jednak ostrożnie. Kilka osób cisnęło się do niego wylewnie. Nie wyczuł żadnej zdrady.

— Czyżby czytali moje wiersze? — przemknęło mu w myślach z ogromnym zdumieniem.

Gędziółkówna przedstawiła gościom „swojego kochanego lokatora”, a Gędziółek krążył z butelką. Nie mogąc się zaś doczekać ogólnego toastu, sam wychylił spory kielich i zawołał gromko:

— Za zdrowie Bronisława!

Równie młody jak nieznaną poeta po każdym wypitym kieliszku myślał coraz niepewniej, co się właściwie tym pocziwom Gędziółkom stało? Nagle zobaczył coś, od czego pościemniało mu w oczach. Na honorowym miejscu stał oparty na krześle wieniec przysłany z kwaciarni!

Bronisław pógłosem usprawiedliwił się, że musi uisnąć, bo jest bardzo sftatygowany. Gędziółek uciał w tej chwili mówkę.

— Drodzy sąsiedzi! — zaczął, nie wypuszczając flaszki z ręki. — Pośród nas jest człowiek, któremu właśnie dziś przysłał wieniec dla uczczenia jego talentu. Bo to, drodzy sąsiedzi, ten go... nie był jaki człowiek. Powiadam wam, nie był kto! Ja sam nie dużo o nim wiedziałem, bo w dzisiejszych czasach jest się, ten go... W literaturze nie za bardzo... Ale czyż nie wypada nam właśnie dlatego uczcić go, jak na to zasługuje?

— Wypada, wypada! — orwano się jednocześnie, chwytając za kieliszki.

— Dopiero obcy otworzyli nam oczy, kim on jest!

— Zatem niech żyje pan Bronisław!

— Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam!... — zaśpiewano pod niebiosa.

Bronisław, wychylając kieliszek, myślał: „Czyż wypada mi zepsuć tak dobry nastrój? Prawda zabija!” — uspokoił sumienie, wypijając następną wódkę.

Michała posadzono między Gędziółkówną, która chciała sama przypilnować, aby cennemu gościowi na niczym nie zbywało, a pewną Karolcią o uśmiechu niebianki. (Była to kuzynka Gędziółków, umyślnie zaproszona przez przeczora gospodynie).

Gędziółkówna — gdy tylko przynieśli wieniec — natychmiast poleciała do Karolci z wiadomością, takiego to ważnego człowieka ma u siebie na stacji, że taki młody, a już mu wieniec przysyła i żeby się Karolcia nad tym zastanowiła. Zaczem obiegły do Gędziółki, aby prędko wrócić do domu, przyniosł dużo wódkę, bo tak a tak. A ona sama już się wszystkim innym zajęła.

Karolcia mówiła teraz do Bronisława:

— Ach, jaki śliczny wieniec!

Bronisław nie patrzył w tamtą stronę.

— A pan Michaś tak skromniutki, że nikt by nie powiedział... Karolcia posłała mu w spojrzeniu kawałek nieba.

„Oto, jak się odkrywa prawdziwe talenty” — pomyślał młody wierszopis.



Foto: Archiwum

Z przygotowanego do druku zbioru opowiadań.

DROGA DO PRAWDY

Zrealizowany na motywach powieści białoruskiego pisarza, Wasyla Bykowa, „Sotnikow”, film Larisy Szeptiko pt. „Wniebowstąpienie” jest utworem wybitnym. Nie waham się film ten zaliczyć do tego kręgu dzieł sztuki, które uczyniły ostatnią wojnę przedmiotem swej refleksji, nadają jej kształt artystyczny tak doskonały, iż adekwatnie wobec ich wartości jest słowo arcydzieło. Nie lubimy tego słowa „nadzwyczajnie”, często czas dokonuje wobec niego brutalnej rewizji. Wydaje się jednak, że właśnie czas sprawił, że „Wniebowstąpienie” Larisy Szeptiko jest dziełem takiego wymiaru.

Wojna i związane z nią najtragiczniejsze ludzkie doświadczenie to tematy, które inspirowały i nadal inspirowa dzieła, które realizowane poprzez różne formy wypowiedzi i we wszystkich dziedzinach sztuki, mają też swe różne intencje. Można je odnieść do dzieł powojennych, niemających bez mała kinematografii, najwyraźniej widać je jednak w tych, których narody były przez wojnę najściślej doświadczane.

Wspomniane intencje przynosiły i przynoszą filmy dokumentujące i rekonstruujące wojenne wydarzenia, filmy, które są pochwalańskim zbiorowym i indywidualnym bohaterstwem, filmy, które przedstawiają losy narodów i losy jednostek. Pojawiają się też filmy, dla których czas wojny jest pretekstem do tworzenia opowieści przedstawionych w konwencji przygody, sensacji, a nawet komedii. Patrząc wstecz na wojenny nurt tematyczny, nie tylko zresztą w dziełach filmu, nie trudno dostrzec, że najpóźniej, poza nielicznymi wyjątkami, doszedł w nich do głosu watek refleksyjny i moralny. To zresztą rzecz naturalna, jeśli rozpatrywać ją w kategoriach przeżytych i pamięci. Tragedia czasów wojny wymagał najpierw owej pamięci jednoznacznej — oddającej hold ludzkiemu bohaterstwu, ukazującej ludzką martyrologię. Dlatego też na przykład twórczość Tadeusza Borowskiego niejako wyprzedziła swój czas, a „Paszanka” Andrzeja Munka pojawiła się wówczas, gdy pojawić się już mogła. Kilka lat później Czesi pokazali „Sklep przy głównej ulicy” Kadara i Kłosa oraz „Wóz do Wiednia” Kachynia. Dla nurtu, w którym sytuację się „Wniebowstąpienie” Larisy Szeptiko, w radzieckiej kinematografii filmem najbardziej charakterystycznym jest „Dziecko wojny” Andrzeja Tarkowskiego.

We wspomnianych tu jedynie przykładach do filmów uważa ich twórców koncentruje się na dylematach moralnych, zrodzonych w determinacjach, które niosą czas wojny. Zwykliśmy przy ich okazji mówić, że były to sytuacje ekstremalne, ostateczne, w których człowiek poddawał się, był najtragiczniej w próbach charakteru i postaw moralnych, tych własnych i tych powszechnie uznanych przez społeczność ludzką za fundamentalne wartości etyczne. Księm charakterystycznym omawianego tu nurtu jest to, że jego twórcy unikają prostej jednoznaczności ocen, co wynika z faktu niezwykle głębokiej analizy sytuacji, w której człowiek musi się samookreślić. Uderzają w tych filmach przejmujące swą grozą, nie wymyślone, najprawdziwsze konteksty, które zmuszają oceniających do głębokiej refleksji, a nie do pierwszego, i tylko potępiającego, podłości, strachu i zdrady. Te filmy nie bronią ni słabych, ni podłych, ni tchórzy, ni zdradców. Ukazują jedynie to, co jest również doświadczeniem człowieka, a więc jest częścią ludzkiej losów i przez ludzi spróbowaną. Dzieła te są w rzeczywistości krzyczącą walecznością, a nie tylko świadomością, na rozprawami o naturze człowieka, o jego historii i jego kulturze. Oskarżenie nie odnosi się więc tylko do danego, jednostkowego przypadku.

„Wniebowstąpienie” jest dla spraw tych przykładem niemal modelowym. Nie bez powodu Larisa Szeptiko nadała swemu dziełu formę moralitetu, w którym biblijny watek Chrystusa i Judasza, a także Piłata pełni funkcje znaku rozpoznawczego zawsze i wszędzie. Szeptiko odwołuje się tym samym do głębokiej świadomości historyczno-kulturowej i do tych wartości moralnych, które w świadomości tej mają swe miejsce centralne. Swa opowieść o sile i słabości człowieka, o przyjaźni i zdradzie za cenę ocalenia, o mocy i bezradności, o godności i podłości przedstawiła Szeptiko w realiach, które drugoczyną pozornie naszą wiedzę o tym, czym była wojna. W białym, śniegowym piekle białoruskich lasów i wiosek toczą się dramaty ludzkie, które widać przeżywa nie tylko psychicznie, przeżywa je fizycznie. Jeśli powiem, że śmierć nas dotyka, to w określeniu tym nie będzie chyba przesady. Tym samym przeżywamy prerażającą iluzję bycia w środku dramatu. Jak wówczas oceniać i sądzić tak po prostu? Kto na to się zdobydzie?

A jednak jesteśmy z zewnątrz i osadu takiego nie unikniemy. Istnieją wartości, których ludzie nie potrafili wykreślić z dekaloga praw rządzących moralnością tego świata. Wielkość filmu Larisy Szeptiko polega na tym, że do tej pozornie oczywistej prawdy prowadzi nas droga ujawniająca całą jej złożoność.

EWA NURCZYŃSKA

ODGŁOSY: W ubiegłym roku nastąpiły znaczne zmiany w sposobach rozpowszechniania filmów. Na czym one polegają i jak wygląda ta sprawa w okręgu łódzkim?

WOJCIECH OKULAK: Decyzją ministra kultury i sztuki nastąpiło połączenie przedsiębiorstw zajmujących się dystrybucją z właścicielami sal kinowych. W Łodzi działał do tej pory Wojewódzki Zarząd Kin, Miejski Zarząd Kin i oddział Centrali Rozpowszechniania Filmów. Natomiast 1 stycznia 1978 roku powstało jedno przedsiębiorstwo — Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów, ponadregionalne, bo działające na terenie pięciu województw: miejskiego łódzkiego, piotrkowskiego, skierniewickiego, sieradzkiego i plockiego. Jest to obecnie jedno z największych przedsiębiorstw tego typu spośród siedemnastu istniejących w kraju. Dysponujemy na terenie wymienionych województw około 180 kinami, które obsługują prawie 3 miliony potencjalnych widzów.

ODGŁOSY: Jakie są praktyczne korzyści wynikające z przeprowadzonej zmiany?

WOJCIECH OKULAK: Podstawową sprawą jest możliwość lepszego nawiązania kopiami filmowymi, umożliwiającą ich rozsądniejsze wykorzystanie. Ponadto zniknęła dotychczasowa pewna dwoistość interesów. Kino zgłaszało określone zapotrzebowania wynikające z zainteresowania przede wszystkim wpływami, które to zapotrzebowania nie mogły być w pełni zaspokojone przez CRF ze względu na to, że przedsiębiorstwo to zwracało największą uwagę na wyniki programowe. W tej chwili istnieje jedno przedsiębiorstwo realizujące zarówno zadania ekonomiczne, jak i programowe, umożliwia lepsze ich wypełnianie.

Kina nastawione na wyniki finansowe preferowały repertuar złożony z filmów łatwych, wysokofrekwencyjnych — to natomiast powodowało zachwianie równowagi w planie programowym, którego założeniem jest utrzymanie proporcji widzów w stosunku 50 proc. na filmach produkcji krajów socjalistycznych i 50 proc. na filmach zachodnich.

ODGŁOSY: W zakupach proporcje te rozkładają się nieco inaczej, to znaczy około 60 proc. filmów stanowi produkcja obozu socjalistycznego, a 40 proc. krajów zachodnich. Jak natomiast wyladała ta sprawa w sferze dystrybucji? Jak wygląda to „terytorialnie”?

WOJCIECH OKULAK: Kina mają również plan roczny, w którym określone są zadania programowe, jak również ekonomiczne. Po prostu tak samo, jak w OPRF wygląda sprawa w poszczególnych kinach. Jednak faktem jest, że narzucamy kinom określone tytuły. Kierownicy kin też umieją myśleć i wiedzą na jaki film pójdą ludzie „z ulicy”, a nad jakim tytułem muszą pracować — organizować widownię. Oczywiście chcieli by te filmy, na które ludzie przychodzą sami. Jest to zupełnie naturalne. Przykładowo: gdy organizujemy w jakimś kinie imprezę np. Dni Filmu Radzieckiego, podczas której prezentujemy filmy raczej trudne i trzeba intensywnie pracować nad frekwencją, kino otrzymuje przed lub po jakiś film rozrywkowy, aby plan ekonomiczny mógł być zrealizowany. Chciałbym przy okazji pochwalić się, że nasz



Foto: W. Parys

KINO DLA KAŻDEGO

Rozmowa z dyrektorem Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów — WOJCIECHEM OKULAKIEM

OPRF osiągnął w ubiegłym roku założony wskaźnik programowy, o którym mówiliśmy. Trzeba też zarazem podkreślić, że jest to szczególnie trudne w miejscowościach dysponujących wieloma kinami, jak na przykład w Łodzi, ze względu na to, że jeżeli nawet da się 70 proc. repertuaru socjalistycznego, to jednak przy 30 kinach w Łodzi widzowie mają mimo to możliwość oglądania filmów zachodnich.

ODGŁOSY: Czy jednak sytuacja nie staje się w ten sposób sztywna?

WOJCIECH OKULAK: Wydaje mi się, że nie — ponieważ sprawa sprowadza się w rezultacie do problemu właściwej reklamy, zainteresowania poszczególnych środowisk określonym tytułem. Na przykład doskonale wyniki osiągnęliśmy w Dniach Filmu Radzieckiego. W przewidywaniach braliśmy pod uwagę pół miliona widzów, tymczasem impreza zamknęła się liczbą 630 tysięcy. Jest to najwyższa liczba widzów, jaka uczestniczyła w Dniach Filmu Radzieckiego na przestrzeni ostatnich 5 lat.

ODGŁOSY: W przypadku Łodzi, gdzie mamy do czynienia z dużą liczbą kin, problem rozprowadzania repertuaru stwarza mniejsze problemy, niż wtedy gdy filmy te wysyła się do kin w województwach. Czy rozprowadzanie filmów poprzedzone zostaje jakąś analizą środowiska?

WOJCIECH OKULAK: Nie mamy żadnych opracowań, które pozwoliłyby nam na spojrzeńie w sposób naukowy na odbiorcę. Nie mamy materiałów dotyczących tzw. badania potrzeb. Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów powołało niedawno placówkę socjologiczną. Jednak rezultatów przeprowadzonych tam badań nie otrzymaliśmy. Skądinąd wiadomo, że na razie rzecz dotyczy niektórych warszawskich zakładów pracy, natomiast Łódź doczeka się analizy środowiska filmowego w drugiej kolejności. W tej chwili działamy jeszcze

na zasadzie „nosa”, pewnego wyczucia, no i oczywiście doświadczenia.

ODGŁOSY: Czy jednak w praktyce nie oznacza to, że kina pozałódzkie skazane są jednak na repertur drugorzędny?

WOJCIECH OKULAK: Wręcz przeciwnie. Jedną z pozytywnych zmian, jakie się dokonały po zjednoczeniu przedsiębiorstw, jest właśnie możliwość pełnego zaspokojenia potrzeb repertuarowych miast wojewódzkiego. Przykład z ostatniego okresu: Piotrków otrzymał „Płonący wieżowiec” i „Trzęsienie ziemi” wcześniej niż Łódź. Zresztą generalną naszą zasadą jest nawet w przypadku mniejszych miast wojewódzkich jak np. Sieradz i Skierniewice, że praktycznie mają one repertuar na poziomie repertuaru łódzkiego. W przypadku, gdy otrzymujemy film atrakcyjny, np. w pięciu kopiach, pokazujemy go jednocześnie we wszystkich stolicach województwa, z tym, że w pewnym uzgodnieniu pierwszeństwa Łodzi, Piotrkowa i Plocka. Jednak zawsze staramy się o to, aby stolice województw miały repertuar aktualny. Natomiast miasta odpowiadające dawnym powiatowym otrzymują filmy o miesiąc wcześniej niż w okresie poprzednim, podczas gdy w małych miejscowościach filmy pojawiają się już o 2-3 miesiące wcześniej niż to było dawniej. Ponadto filmy, którymi dysponujemy w większej liczbie kopii przeznaczamy dla kin ruchomych. Kierownicy tych kin wiedzą już wcześniej o repertuarze i w wybranych miejscowościach przeprowadzają reklamę. Ostatnio zmieniliśmy działalność kin wiejskich. Do tej pory małe miejscowości miały czyste sale kinowe jeden lub dwa dni w tygodniu. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się na zastąpienie ich działalnością kin ruchomych, co już w znacznym stopniu przyczyniło się do wprowadzenia nowego repertuaru. Najistotniejszy jest fakt, że kino ruchome dysponuje niejednokrotnie lepszą aparaturą niż wiejskie kina stałe, a zarazem w kinie ruchomym jedna kopia może obsłużyć więcej miejscowości. Dodatkową korzyścią jest fakt zaoszczędzenia wielu etatów.

ODGŁOSY: Taka sytuacja wyjaśnia w pewnym stopniu znaczne zmniejszenie się liczby kin w Polsce w ostatnich latach. A jak wygląda ten problem w skali terenu łódzkiego OPRF?

WOJCIECH OKULAK: Najgorsza jest sytuacja w Łodzi. Kilkanaście kin jest przewidzianych do wyburzenia ze względu na potrzeby przebudowy miasta w okresie do roku 1980. W tym roku zlikwidowana zostanie prawdopodobnie „Młoda Gwardia”. W następnych latach „Roma”, „Gdynia”, „Swit”, „Pionier”, „Halka”, „Rekord”, „Stylowy” i inne.

ODGŁOSY: Jakie będą tego konsekwencje?

WOJCIECH OKULAK: Na pewno sytuacja będzie bardzo zła. Już w tej chwili Łódź ma najniższy z dużych miast stosunek liczby kin do liczby mieszkańców. W przyszłości ulegnie on dalszemu pogorszeniu. Nawet planowane wybudowanie nowego kina (w okolicy skrzyżowania Głównej z Piotrkowską) o 600 miejscach, nie zastąpi kilku kin o niewielkiej

liczbie miejsc. Tym bardziej że wśród przeznaczonych do likwidacji znajdują się również kina duże np. „Roma” o 425 miejscach, czy „Muza” o 450 miejscach. Jakkolwiek przy ulicy Piotrkowskiej 111/113 przewidziana jest także budowa kina o dwóch salach dysponującego w sumie około 600 miejscami.

ODGŁOSY: Zmieniając temat na bardziej optymistyczny, chciałbym zapytać o imprezy organizowane przez OPRF. Jest to na pewno najbardziej widoczna dodatkowa forma działalności OPRF w łódzkim życiu kulturalnym.

WOJCIECH OKULAK: Faktycznie. Od dłuższego już czasu wzbogacamy działalność kin o cały szereg imprez. Przede wszystkim realizacja akcji „Sojuszu świata pracy z kulturą”. Staramy się współpracując z zakładami pracy, aby sprawa nie ograniczała się jedynie do oglądania filmów. Prezentując filmy na pokazach przedpremierowych zapraszamy także twórców. Drugą ważną akcją, którą prowadzimy jest tzw. „Kino Aktywu TPRP”. Kino „Iwanowo” oddane jest do dyspozycji organizacji TPRP w Łodzi, Aktyw organizacji — szkolny i robotniczy ogląda na pokazach przedpremierowych ciekawsze filmy produkcji radzieckiej. Mamy także kina dzielnicowe współpracujące z zarządami dzielnicowymi organizacji młodzieżowych. Najlepiej wygląda sprawa w Śródmieściu, gdzie w kinie „Stylowy” odbywają się trzy projekcje w miesiącu. „Iwanowo” przeznaczone jest dla Bałut, a „Wisła” dla Widzewa.

ODGŁOSY: W ostatnim czasie obserwowujemy bardzo aktywną działalność ŁDK w upowszechnianiu kultury filmowej. Wiadomo, że dużym powodzeniem cieszą się pokazy filmów archiwalnych, organizowane w ramach funkcjonowania filii „Iluzjonu”. Czy nie warto by korzystając z tego wzoru przeznaczyć jedno z kin na stałe pokazy filmów nie typu archiwalnego — żeby nie powiełał tego co robi ŁDK — ale tych wybitnych sprzed paru i parunastu lat, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć na ekranach?

WOJCIECH OKULAK: Od razu wyjaśnijmy sobie jedną sprawę. Moim polistą na filmy archiwalne jest „Filmoteka Polska”. Jest to uregulowane nie tylko naszymi przepisami, ale też międzynarodowymi. Tylko w ramach „Iluzjonu” mogą być one pokazywane.

ODGŁOSY: Czyli sprawa nie jest możliwa do realizacji ze względów formalnych?

WOJCIECH OKULAK: Tak. Jakkolwiek korzystając z uprzejmości „Filmoteki Polskiej” zrobiliśmy parę wznowień archiwalnych filmów przedwojennych. W Łodzi zaczęliśmy „Znachorem”, „Profesorem Wilczurem” i „Wrzosem”. Frekwencja na tych filmach przekroczyła wszelkie oczekiwania. Nieco mniejszym zainteresowaniem cieszyły się „Niedorajda” i „Dziewczęta z Nowolipiek”. Liczymy na to, że gdy będzie już odpowiednio wyeksploatowana „Trędowata” Hoffmana, będziemy mogli wprowadzić na ekrany przedwojenne wersje „Trędowatej” i „Ordynata Michorowskiego”. Warto także wspomnieć, że organizujemy stałe przeglądy filmów poszczególnych kinematografii. Nawracając jeszcze do stałych akcji chciałem przypomnieć o Kinie Wersji Oryginalej, które bardzo podoba się publiczności i pozwala obejrzeć film z wyprzedzeniem około półrocznym.

ODGŁOSY: Na koniec chciałbym poprosić o parę słów na temat trudności, na które napotyka nowo powstałe przedsiębiorstwo?

WOJCIECH OKULAK: Na nasze przedsiębiorstwo spadł również dodatkowy obowiązek wynikający z faktu, że dystrybutor jest właścicielem sal kinowych. Cała polityka inwestycyjna i inwestycyjno-remontowa także wchodzi w zakres naszych działań. Mamy trudności z wykonawstwem, z materiałami. Już chyba w tym roku podjęte zostaną pierwsze próby powołania specjalnych przedsiębiorstw remontowo-budowlanych, które specjalizowałyby się w remontach kin. To dopiero mogłoby rozwiązać problem w sposób bardziej właściwy, bo dotąd korzystamy z usług różnego rodzaju spółdzielni. A przecież odziedziczyliśmy kina bardzo zdezastrowane. Teraz — ponieważ właścicielem kin nie jest władza lokalna — ta władza lokalna zaczyna dostrzegać, że te kina są nieinwestowane. Zawszad napływają do nas żądania o remonty, zmianę wyposażenia kin, o podwyższenie uoszażeń pracownikom itp. Tak właśnie wyglądała uboczna skutki z rekcja sal kinowych zbyt już wyeksploatowanych.

Rozmawiał: PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

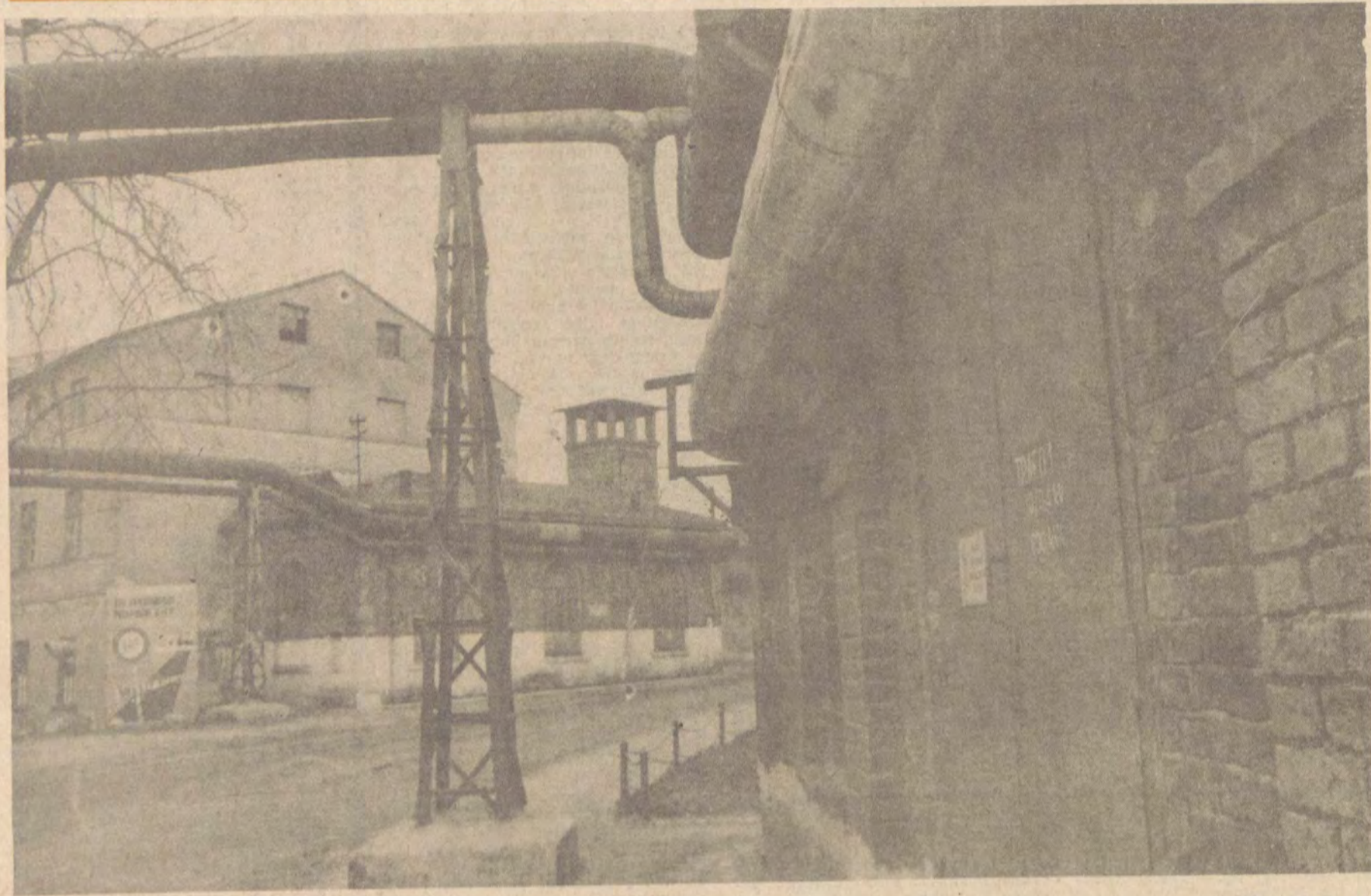


Foto: W. Parys

Mirostław Kuźniak

PIERWSZY W RODZIE

Redaktorze, niech pan spojrzy przez okno. Czy widział pan już kiedyś taką fabrykę? Widzi pan te piętaniące fabryczne uliczki o dziwnych nazwach: Przdowników, Racionalizatorów, Bawelniana, Tkacka. Niech pan nie szuka tych nazw na planie miasta, to uliczki fabryczne. Nie zobaczy pan tak dużej fabryki, przynajmniej w Łodzi. To kołos, który panuje nad całym Bałutami. Wie pan, bardzo imponowało mi to, że zacząłem pracę w tej fabryce.

Zacząłem jako podmistrz. Pierwszego dnia zaprowadził mnie majster, Franciszek Wagner, do tkacki Sobicieckiej i powiedział: — Ten chłopak przyszedł do nas po szkole, jest technikiem, naucz go obsługi krosna.

Zaczęła mnie Sobiciecka uczyć. Po godzinie straciłem rytm, omdlały mi ręce. Sobiciecka popatrzyła na mnie raz i drugi. — Siadź se chłopczku w kątku — powiada — odpocznij, uważaj tylko, żeby majster cię nie przegonił.

— Siaby jesteś — powiedział na drugi dzień Wagner — trzeba cię zahartować. No i zaczęło się hartowanie.

...podmistrz jest jakby czeladnikiem u mistrza. Wykonuje wszystkie ciężkie prace na sali. Na przykład zakłada osnowy. Jedną osnową wazy od czterdziestu do sześćdziesięciu kilogramów. Ciężka robota. Wtedy dopiero rozumiałem do czego służy ten rowek biegnący wzdłuż kręgosłupa. Do spływania potu.

...uśmiechnął się redaktor, zapisał w kalendarzu. Udało mi się to zdanie. Zresztą, pal diabłu zdanie. Harowałem wtedy ciężko. Do domu wracałem porożniętym i potłamanym. Ładny trening, jakby powiedział mój syn, Krzysztof. Trening? Skądże, normalna praca. Wszyscy podmistrzowie tak samo pracowali, dlatego więc mnie miała ominąć ta robota. Zresztą nie bałem się wtedy pracy, nie boję i dzisiaj. Koledzy z technikum buntowali się, święcili w oczy dyplomami, krzyżali, że powinni zostać majstrami. Niektórzy odeszli po miesiącu, inni po roku.

Franciszek Wagner był mądrym majstrem. Najpierw obserwował mnie z boku, potem zaczął pomagać, radzić w trudniejszych sprawach. Już po kilku miesiącach umiałem sam regulować krosna. Nie wszyscy majstrowie tak traktowali młodych, większość strzegła zawodowych tajemnic. W „Marchlewskim” pracowała stara kadra, pamiętająca dawnego właściciela fabryki, Israela Poznań-

skiego. To oni tworzyli klan, do którego rzadko udawało się wejść młodym, ze szkolach, z dyplomami. Pomógł mi w tym majster.

...tak, panie redaktorze, Franciszek Wagner był mądrym majstrem. Dostał zresztą pracę na naszej tkalni. Tak jak Sobiciecka... Młodym trzeba pomagać. Czasem wystarczą dobre słowa, pochwała, a młodym łatwiej w fabryce.

Pracowałem już rok w tkalni, gdy Wagner wezwał mnie do siebie:

— No cóż, panie techniku, trzeba dalek się uczyć.

— Panie majster, a na cóż mi to? Albo mi to źle w fabryce?

— Młody jesteś, powinieś się uczyć — zaburzał Wagner. — Na starość nauka nie chce do głowy leźć. Pamiętaj.

Od niego dowiedziałem się, że fabryka skierowała mnie do Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. W kadrach dostałem pismo, kierownik uściślił mi dłoń, majster poklepał po ramieniu. Tego dnia nie szła mi robota. Wprost z fabryki pognąłem do domu. Ojciec uważnie przeczytał skierowanie. Odchrząknął i powiedział — Znaczą się jest w domu inżynier!

— E tam — machnąłem ręką — do inżyniera to jeszcze mi daleko. A matka nic nie powiedziała. Tylko się śmiechnęła.

...trzeba będzie w któryś wolny wieczór zajrzeć na jej grób. Pewnie zaroił. Tablicę także muszę odnowić. Może samemu? Tylko czy znajdę na to czas?

...tak, panie redaktorze, matka tylko uśmiechnęła się. Pod koniec życia często się uśmiechała. Może człowiek w swoim życiu ma ograniczoną ilość łez do wypłakania. Może?

— Pan do kogo? — Starszy siwy mężczyzna zatrzymuje mnie w drzwiach.

— Z pismem, to znaczy ze skierowaniem przyszedłem. — Proszę — wyciągam papierkę, na którym widnieje moje nazwisko i nazwa szkoły inżynierskiej.

— A pan student — mówi mężczyzna — nie wie, że zajęcia rozpoczynają się 14 października? Mężczyzna wyciąga z kamizelki duży posrebrzany zegarek. Teraz jest piętnasta. Spóźnionych nie wpuszczamy.

Wieszko zegarka zamyka się z trzaskiem.

Z słwym nożem naszej uczelni niejednokrotnie miałem ciężką pracę. Niełatwo było mi wyrwać się z fabryki na początek zajęć. Tym bardziej, że awansowałem. Zostałem majstrem. Powinienem pracować na

trzech zmianach, ale dyrektor Nowak, dobry dyrektor, niech pan spyta o niego w fabryce, przesunął mnie na stanowisko majstra awaryjnego. To znaczy musiałem zastępować wszystkich nieobecnych majstrów. Nietatwa to była praca. Najtrudniej jednak było wieczorami, kiedy zasiadałem do nauki...

...Krzysztof, skończyłem słuchanie płyt? Dobrze, dobrze, wiem, że ciębie nie trzeba poganiać tylko mobilizować. No więc mobilizuję cię do odrobienia lekcji. Tylko duchem, jak mawiał pan Zagłoba...

Najgorzej było, gdy ucieki tramwaj. Wtedy było pewne, że spóźnię się na zajęcia. Podobnie wieczorami, gdy wychodziłem z uczelni. Zajęcia kończyły się o 22, bo z pracowni mogliśmy korzystać dopiero po studentach Politechniki. W domu byłem przed 11, o wpół do szóstej zaczynałem pracę w fabryce.

Nieraz matka budząc się w nocy widziała mnie pochylonego nad stołem. Czasem podkładała mi pod głowę poduszki, gdy zasnąłem nad książką.

...pamiętam ten kątek w kuchni. Mały stolik zwałony książkami i wykresami, kulawe krzesło, pod którym podkładałem jakąś powieść wypożyczoną z biblioteki. Obok, na piecu, stała zawsze przygotowana dla mnie kolacja. Nawet nie musiałem wstawać, żeby zdjąć garnek z pieca...

Wybrałem jako specjalizację tkactwo bawelny. Mogłem od razu wypróbować w mojej fabryce teorie wykucwane podczas nocnej nauki. Nie wszystkim podobaly się te moje innowacje. „Te, inżynier, matce jeszcze nie spłaciłeś za mleko, a nas chcesz uczyć” — mówili tak ci co w fabryce zęby zjedli. Panowało u nas wtedy przekonanie, że im starszy robotnik tym lepszy. Trochę racji w tym było. Stary majster z zamkniętymi oczami umiał rozkręcić krosno. Denerwowały mnie tylko te patriarchalne stosunki. A poza tym musiałem zapłacić frycowe młodości.

Miałem jednak szczęście, trafiłem na mądrych piekunów. Jeden to majster Franciszek Wagner, drugi dyrektor Stefan Nowak.

...na naszej uczelni poznałem żonę. Pracowała również w fabryce. Najpierw zaczęliśmy wspólnie jeździć na zajęcia, potem razem wracać. Była to miłość... tramwajowa. Ona dopiero zaczynała studia, ja kończyłem. Czasu dla siebie mieliśmy tyle, co w tramwaju między zajęciami. A i to wkrótce się skończyło, bo ponownie awansowałem. ...było to na rok przed dyplomem.

Wezwał mnie do siebie dyrektor Nowak

— Panie kolego — powiedział — proponujemy panu stanowisko salowego. Co pan na to?

Ba, zaniemówiłem. Wie pan, to był naprawdę ogromny awans. W fabryce byli starzy i doświadczeni tkacze, ale salowymi tylko najlepsi spośród nich. Salowy to jakby kierownik całej zmiany. Podlegają mu wszyscy majstrowie, no i wszyscy tkacze. Duża odpowiedzialność. Wszedłem z tym pismem do Nowaka i znowu nie wiedziałem, cieszyć się czy smucić. Do końca studiów brakowało mi jeszcze rok, a wraz z objęciem funkcji salowego musiałem pożegnać się z pracą na jedną zmianę. Jak pogodzić pracę ze studiami? Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata.

Szedłem więc tymi wąskimi fabrycznymi uliczkami i myślałem. Na Bałutach, niedaleko domu, w którym urodziłem się były gliniarki. Kapaliśmy się w tych gliniarkach latem, ale tylko przy brzegu, tam gdzie najpłycej. Dalej baliliśmy się wejść, bo było głęboko. Ale, któregoś dnia postanowiłem wejść, zagruntować, to znaczy sprawdzić, czy sięgnę nogą dna. No i wszedłem. Już po kilku metrach noga nie znalazła oparcia. Rozpaczyliwym ruchem wydostałem się na powierzchnię, a potem wolno dołygnąłem do brzegu. Słowo daję, że do tej chwili nie wiedziałem, że umiem pływać. Pewnie bym długo jeszcze nie wiedział, gdyby nie ta ryzykowna próba. Zapamiętałem od razu, że nie warto bać się ryzyka. Tylko cele zacząłem wybierać lepsze niż dno brudnej, śmierdzącej gliniarki.

...ten ostatni rok studiów, gdy pracowałem jako salowy był najtrudniejszy. Zakończyłem już wtedy dom. Mieszkanie dostaliśmy z żoną z fabryki. Istniała wtedy przy zakładzie pierwsza w Łodzi spółdzielnia mieszkaniowa „Bawelna”. Na pierwszej liście znalazłem swoje nazwisko. Przenieśliśmy się więc z klitki moich rodziców do bloku. To mieszkanie upatrzyliśmy sobie z żoną już dawno, ledwo zaczęto stawiać ten blok. W małej drewnianej budce przy bloku mieszkał strażnik, który pilnował budowy. Zaprzyjaźniłem się z nim. Gdy wieczorami przychodził do domu z żoną pozwalał nam obejrzeć nasze przyszłe mieszkanie. Nie miało jeszcze podłóg, urządzeń sanitarnych, no, ale już stały mury. Chodziliśmy z żoną pośrodk tych ścian i mówiliśmy: tu stanie tapczan, tu szafa, a tu biurko. Wydawało nam się to mieszkanie bar-

dzo piękne. Dwa lata temu wyprzedziliśmy się z niego, zamieniliśmy na większe.

Dla mojego stolika i kulawego krzesła z kuchni matki znalazło się sporo miejsca. I na tapczan, który dostaliśmy od rodziców żony. Więcej mebli nie mieliśmy. Po jakimś czasie nie, tylko mebel zaczęło przybywać, ale też obowiązków. Najpierw te domowe, bo urodził się Krzysztof. Potem zawodowe, bo znowu awansowałem.

...w tkalni praca była ciężka. Na wielkich krosnach mechanicznych, pamiętających początek naszego wieku, robota była uciążliwa, tkaczkę głuchą od huku, zżajzane przebiegały od osnowy do osnowy, a i tak obsługiwały zaledwie dwie, trzy maszyny. Pamiętam, jak cieszyliśmy się, gdy gruchnęła wieść, że Wifama rozpoczęła produkcję automatycznych krosien na licencji szwajcarskiej firmy Saurera. W kilka miesięcy po tym, dowiedziałem się, że fabryka wytypowała mnie na kurs obsługi nowych krosien. Pamiętam ten mój podziw, gdy zobaczyłem te nowe lśniące maszyny. Wie pan, po prostu były ładne, podobały się. Przez rok na kursie rozbieraliśmy te krosna do najdrobniejszej śrubki. W końcu poznałem je tak, że w nocy mogłem recytować, z jakich części składa się krosno.

Z tego kursu tylko niewielu z nas poszło do Wifamy. Tam przyjmowaliśmy gotowe maszyny, sprawdzaliśmy ich pracę, wydajność, wykończenie. Przy pierwszym krosnie to zebrało się pół załogi Wifamy. Ręce mi wtedy drżały, gdy je włączałem. No i tak zostałem specjalistą od nowych saurerowskich krosien. Zapadła wtedy decyzja, żeby pierwszą tkalnię saurerowską postawić w naszej fabryce. Dla starych robotników to była prawdziwa rewolucja. Oczywiście, techniczna. Wie pan, gdy człowiek przez wiele lat pracuje przy jednej maszynie, to wydaje mu się, że poznał jej duszę, że jest z nią związany na dobre i złe. Każda zmiana maszyny, to już było przeżycie. Ale to przejście z wolnych, starych krosien mechanicznych na automatyczne było prawdziwym szokiem. Po pracy na ulicce przed starą tkalnią zebrał się spory tłumek. Gadali, dyskutowali, rozważali. Młodzi cieszyli się z Saurerów. Najstarsi zaczęli myśleć o emeryturze, przeczuwali, że nie dadzą rady. Tak też było. Z nimi wszystkimi musiałem przeprowadzić rozmowy, bo zostałem kierownikiem nowej tkalni, mówiło się wtedy „tkalni w budowie”.

Po kilku miesiącach Wifama przysłała pismo, że chce mnie na jakiś czas „wypożyczyć”. Miałem jechać do Jugosławii. Wifama sprzedała tam pierwszą partię Saurerów, o których zaczynało być głośno w świecie.

Moja matka popłakała się, dla niej Jugosławia była na końcu świata. Przyznał mi się, że i mnie strach trochę oblać, bo instalować krosna w swojej fabryce, to jedna sprawa, jechać aż do Serbii... Miałem też, w którym pracowałem nazywało się Nis. Mieszkałem tam osiem miesięcy. Już po dwóch miesiącach moja dyrektorka pisała protesty do Wifamy że za długo.

Serbskiego nauczyłem się szybko — łatwy język, melodyjny. Podczas tej pierwszej wizyty w Jugosławii niewiele zwiedziłem. Czasu na turystykę nie starczyło. Mówili Jugosłowianie: sfolgujcie, przecież się nie pali. Machaliśmy ręką, dobrze, dobrze, robota czeka.

...to miasteczko było inne od naszych miast. Leżało w dolinie otoczonej wzgórzami. Roślinność była także inna, bo ja wiem jak to nazwać, może bardziej zielona? Ludzie serdeczni, bezpołudni. Pisałem do Teresy długie listy. Gdzie ona je schowała? Kiedyś widziałem, że trzyma je razem owinięte czerwona wstążeczką. Pani inżynier ma pensjonarskie nawyki. Trzeba ją o to zagadać...

Gdy wróciliśmy Jugosłowianie przysłałi podziękowanie, a w niedługi czas potem zamówienie na drugą partię krosien. Ale po raz drugi nie polecałem do Jugosławii, w fabryce kończyliśmy budowę nowej tkalni, musiałem wszystkich „opilnować”.

W 1972 roku wezwał mnie dyrektor, posadził w fotelu, poczęstował kawą.

— Panie inżynierze, chcemy panu zaproponować stanowisko kierownika wydziału tkalni. Zgadza się pan?

Nie spodziewałem się tej propozycji. Byłem — jak na warunki fabryki, jeszcze młody, ledwie przed czterdziestką. A przecież spadała na mnie ogromna odpowiedzialność: miałem kierować prawie tysiąc pięciuset ludzi.

— Zgadza się, panie dyrektorze — powiedziałem. I to wszystko.

...powiedziałem wtedy „to wszystko”. Redaktor zatrzymał ołówki.

— Czy naprawdę wszystko, inżynierze Komorowski?

...Jak on to powiedział: pierwszy w rodzinie. Matka by się uśmiechnęła.

BOGDA MADEJ

„FAKO” CZYLI ZMĘCZENIE PRZEMYSŁU

W Łodzi przy ulicy Zachodniej ma powstać sklep — marzenie. Na razie jest to marzenie producenta, czyli Fabryki Koronek FAKO. W sklepie tym ma się znaleźć to wszystko, co się na bieżąco w fabryce produkuje, czyli wszelkiego rodzaju koronki, a więc nie tylko te, które aktualnie zamawia handel, oraz — na takiej samej zasadzie — firanki. Według marzeń producenta firanki będą eksponowane nie tylko tak, jak je można wieszać, ale klient będzie mógł sobie poszukać odpowiedniego wzoru w firanowym katalogu. Marzenia producenta idą dalej: chciałby on również sprzedawać tzw. firanki konfekcjonowane, czyli od razu gotowe do zawieszenia, właściwie umarszczone i upięte. W dodatku producent marzy sobie, żeby te firanki sprzedawać w estetycznych pudełkach. A ponieważ większość klientów posiada typowe okna o jednakowych wymiarach, więc pomysł jest realny i dla kupujących korzystny.

Marzenie o takim sklepie jest protestem przeciw dotychczasowemu sposobowi sprzedawania firanek. Sprzedaje się je na ogół z beł, prawie żaden sklep nie eksponuje ich odpowiednio, bo nie ma do tego warunków i nie jest tym specjalnie zainteresowany. Popyt na firanki i tak jest.

Marzenie producenta o takim sklepie jest również protestem przeciwko utrzymującym się od lat takim samym zamówieniom handlu. Handlowcy najczęściej zamawiają te rodzaje firanek, które od dawna są najchętniej kupowane. Białe, gęste, we wzory z kwiatami. Zdaniem producenta dzieje się tak dlatego, że klient nie ma możliwości zapoznania się z tym, co fabryka może wyprodukować i co produkuje. Gdyby w sklepach firanki były właściwie eksponowane, klient miałby możliwość dokładniejszego wyboru, pomyślenia, jak firanki będą wyglądały w jego pokoju, a tym samym ryzyko niewłaściwego zakupu byłoby znacznie mniejsze. Handel również boi się ryzyka, nie ma więc chęci przekonywania klienta do innego wzornictwa. A FAKO może produkować firanki nie tylko w różnych kolorach, ale i o różnych wzorach. Zaproponowano na przykład firanki odbiegające wyglądem od tradycyjnych — białych i gładkich, firanki ozdobione kolorową przędzą, mające charakterystyczny, różnorodny zrsznię, spłot. Firanki te podobały się mieszkańcom Dąbrowy, którym je pokazano, ale nie znalazły one uznania u handlowców. W tej sytuacji FAKO wycofuje się z tych propozycji. Firanki w duże kwiaty grożą nam nadal.

Podobnie wygląda sytuacja z koronkami. Moda na koronki skończyła się już dawno, ale przemysł odzieżowy oraz zakłady szyjące damską bieliznę biorą pewne ilości koronek. Pewne ilości koronek zamawia również handel. FAKO produkuje koronki, które służą do ozdabiania bielizny i takie, z których na przykład szyje się damskie bluzki. Handel jednak zamawia głównie koponki białe i ewentualnie w kolorach pastelowych. Tymczasem do fabryki przychodzi lista od kobiet, które akurat poszukują koronki czarnej, potrzebnej na przykład na bluzkę w okresie żałoby. Niestety, w sklepach o taką koronkę bardzo trudno.

Marzenie ludzi z FAKO o otworzeniu własnego sklepu stanowią doskonałą ilustrację odwrócenia roli, jaką powinien odgrywać producent i handel. Handel, posiadając znajomość rynku, powinien występować do producenta z żądaniem nowości. Powinien inspirować jego poczynania. Tymczasem w przypadku FAKO handel tej roli nie spełnia, a przeciwnie — ogranicza jego produkcyjne możliwości, domagając się wzorów tradycyjnie sprzedawanych od lat. Stąd też realizacja marzenia o sklepie będzie próbą wyręczenia handlu. Producent będzie miał dzięki temu możliwość sprawdzenia, czy rzeczywiście jego nowości znajdują uznanie wśród klientów i będzie mógł zaprezentować im wreszcie pełną gamę swoich wyrobów.

Fabryka Koronek FAKO powstała z Fabryki Firanek i Koronek im. Hanki Sawickiej, jako przedsiębiorstwo mające produkować tylko ko-

ronki. Zakład wybudowany na Teofilowie rozpoczął swoją produkcję w 1970 roku. Moda na koronki szybko się jednak skończyła i powstał nowy problem: jak w pełni wykorzystać możliwości produkcyjne zakładu. I wtedy okazało się, że jedynym wyjściem jest powrót do produkcji firanek. Najpierw produkowano je na maszynach koronkarskich odpowiednio przystosowanych do tego celu przez zakładowych specjalistów, a w 1975 roku FAKO kupiła maszyny do produkcji i wykańczania firanek.

Obecnie FAKO produkuje w ciągu roku:

- 12 milionów metrów kw. firanek
- 1 milion 400 tys. metrów kw. firanek produkowanych na maszynach koronkarskich
- 600 tys. metrów kw. tiulu
- 7 milionów 300 tys. metrów kw. różnych typów koronek.

W ciągu roku FAKO sprzedaje zagranicznym odbiorcom koronki i firanki o wartości 7 i pół miliona złotych dewizowych. Jest to w stosunku do wartości całej produkcji część niewielka, ale fakt rozwijających się możliwości eksportowych powinien cieszyć załogę i kierownictwo. Zainteresowanie zagranicznych odbiorców produkcją tego czy innego zakładu dobrze na ogół świadczy o jego możliwościach. Znaczący, że towar wytrzymuje konkurencję z towarami zagranicznych wytwórców. Kupcy z in-

nych krajów stawiają na ogół wysokie wymagania, co dla producentów jest zachętą do rozwijania wzornictwa i podnoszenia jakości swoich wyrobów. W FAKO wszakże, mimo działania tych ogólnych prawidłowości, zainteresowanie zagranicznych kupców fabrycznymi wyrobami nie stanowi zbyt wielkiego powodu do zadowolenia.

Kontrahenci z innych krajów chcą takich firanek, które odpowiadają gustom ich odbiorców i pasują do stylu urządzania wnętrz. Anglicy na przykład kupują w FAKO takie firanki, które zasłaniają okno do wysokości parapetu. Inni poszukują firanek w kolorach niespotykanych i o wzorach u nas mało popularnych. Nawet najwięksi eksperymenciarze od urządzania mieszkań nie powieszają przecież u siebie w pokoju firanki w kolorze fioletowym lub granatowym. Inne, bardziej do przyjęcia kolory, wymagają odpowiednio skomponowanych zasłon jednobarwnych, o które raczej u nas trudno. Poza tym niektóre rodzaje firanek produkowanych na eksport nie pasują do standardowego wyposażenia naszych mieszkań. Stąd nadwyżki i odrzuty eksportowe, tak u nas popularne i znajdujące zawsze chętnych nabywców, dla FAKO stanowią problem niezwykle trudny do rozwiązania.

Przygotowania do budowy FAKO rozpoczęto w 1962 roku. FAKO, jak pamiętamy, ruszyła w 1970 roku. Z prostego rachunku wynika że okres projektowania i budowy trwał osiem lat. Jednakże wybudowana wówczas fabryka różni się zdecydowanie od dzisiejszej. Budynki są naprawdę te same, ale produkcja inna. I, niestety, inne są też potrzeby.

Przykład I: Wybudowano magazyny, które dla potrzeb fabryki koronek były w miarę wystarczające, ale okazały się zupełnie nie wystarczające dla producenta firanek. Jeśli do tego dodać jeszcze powszechnie znane kłopoty z transportem, to trudno się dziwić, że w FAKO magazynuje się gotowe wyroby we wszystkich możliwych miejscach: na korytarzach, w szatniach, w garażach, w stołówce. Magazynuie się je wprawdzie na krótko, w oczekiwaniu na ekspedycję, ale i tak dostatecznie to dezorganizuje życie załogi i pogarsza warunki społeczne.

Przykład II:

Fabrykę koronek zaprojektowano tak zmyślnie, że część produkcyjna zakładu została obudowana pomieszczeniami przeznaczonymi dla służb pomocniczych. Dla fabryki koronek była to może i wygoda, dla fabryki produkującej firanki jest to niewątpliwie utrudnienie. Fabryki firanek nie można bowiem ani rozbudować, a tylko z trudnością można przeprowadzić modernizację. Kiedy kupiono maszyny do produkcji firanek, trzeba było wybić drzwi, aby 10-metrowe maszyny można było wprowadzić do hal produkcyjnych.

Przykład III: FAKO zamierza wprowadzić na rynek krajowy firanki konfekcjonowane, a więc w fabryce umarszczone i podszyte taśmą. Żebyśmy takie firanki mogli kupować, trzeba fabryce pomieszczenia, w którym można byłoby postawić maszyny do szycia i posadzić przy nich kobiety, które by te firanki przeszływały. FAKO ma wśród swoich pracownic takie, którym z różnych względów musi dać lżejszą pracę i obecnie ma z tym kłopoty. Szwalnia byłaby dobrym rozwiązaniem. Gdyby powstała możliwość wybudowania nowego magazynu, można byłoby wygospodarować w zakładzie pomieszczenia na potrzebną szwalnię.

Przykład IV: Fabryka Koronek FAKO, stając się jednocześnie fabryką firanek, nie mogła pomieścić u siebie wszystkich niezbędnych maszyn. Ulokowano więc ich część w kaliskim „Hafcie”, a część w nowej fabryce w Turku. W ten sposób w Turku i w Kaliszu powstały nieformalne oddziały łódzkiej FAKO, które produkują surowe firanki, przywożone do Łodzi do wykończenia.

Zdaje sobie sprawę z tego, że wszelkie rozważania na temat, co by było, gdyby — nie mają sensu. Ale w sytuacji FAKO nieodparcie nasuwa się pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby wybudowano od razu fabrykę firanek, przy której mógłby istnieć również oddział produkujący koronki. Stało się jednak inaczej. I to jest fakt. Jest fabryka koronek, w której obok koronek produkuje się firanki. I właściwie już w momencie uruchomienia FAKO życie zaczęło przekreślać pierwotną koncepcję. Fabryka produkująca tylko koronki nie wytrzymała próby. Od samego początku załogę i kierownictwo FAKO nurtuje pytanie: co zrobić? Mogłoby się wydawać, że przystąpienie do produkcji firanek stanowiło odpowiedź na to pytanie. Robić i koronki i firanki. Ale oto spotkałam się z takim pomysłem, że w niedalekiej przyszłości planuje się odebranie FAKO produkcji firanek i przeniesienie jej do fabryki, które mają do tego lepsze warunki. Pytanie — co zrobić? — jest więc nadal aktualne. Jest ono nadal aktualne i dlatego, że załoga fabryki nie chciałaby stać w miejscu, chciałaby pracować w fabryce z perspektywami, których obecna sytuacja nie gwarantuje. Aby załoga i kierownictwo FAKO mogły spokojnie patrzeć w przyszłość swojej fabryki, aby można było znaleźć właściwą odpowiedź na wciąż nurtujące pytanie — co zrobić? — potrzebna jest jednak pomoc czynników nadrzędnych — zjednoczenia i ministerstwa.

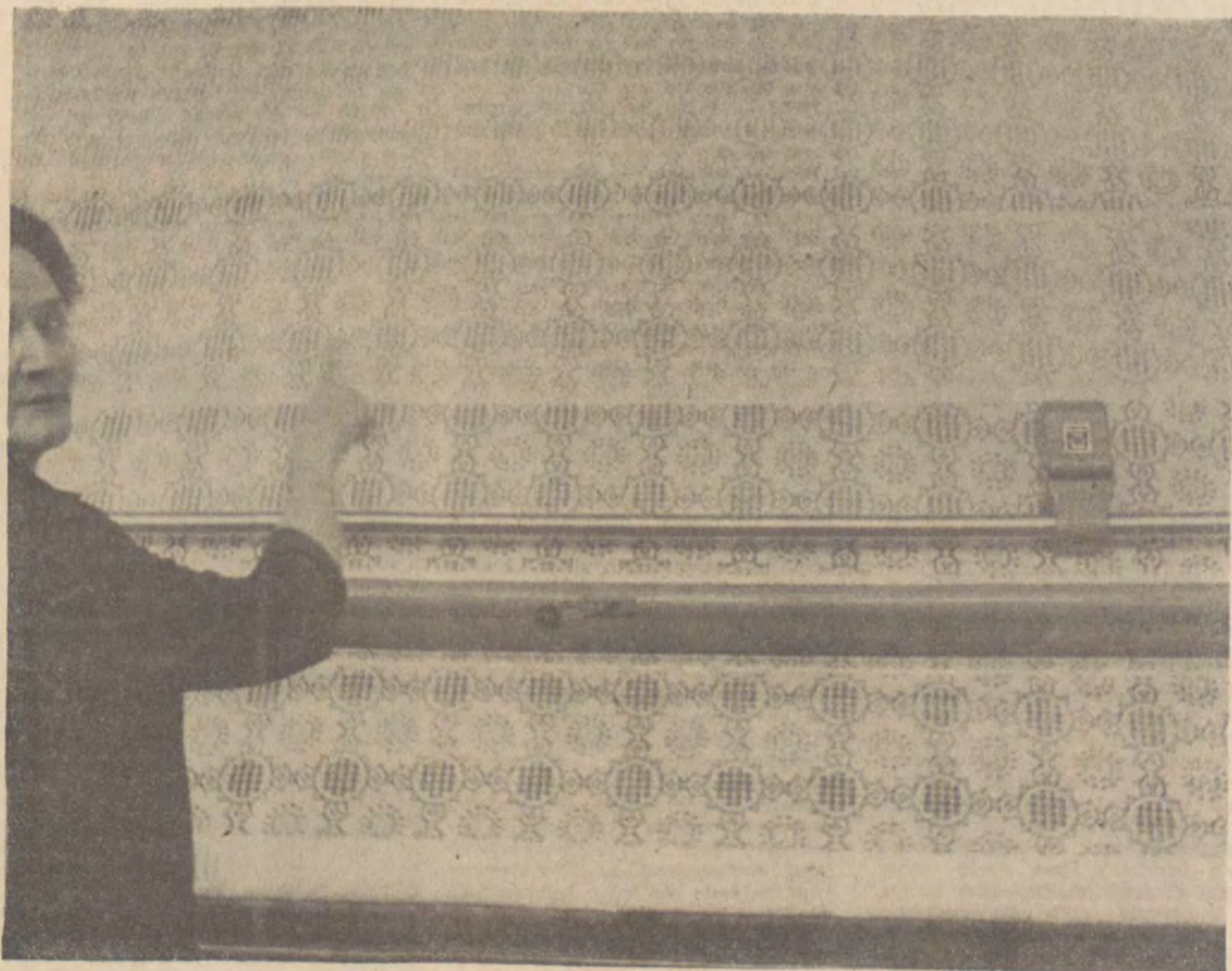


Foto: W. Parys

ZWYKŁY ŚWIAT KONRADA TUROWSKIEGO

Na odwrocie książki Konrada Turowskiego „Prawdziwe nieprawdopodobne”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, znajduje się następujące zdanie:

„Konrad Turowski zdobył opinie reportera. Który nawet na bezludnej wyspie pozbawionej wszelkich środków łączności z resztą świata potrafi wytrwać i interesujący temat i znaleźć sobie szybkiego przekaznika relacji swoim czytelnikom”.

W stwierdzeniu tym nie ma przesady, choć nie żyje autorowi książki „Prawdziwe nieprawdopodobne”, aby musiał dowodzić prawdziwości tegoż. Jest to więc prawda, ale niepełna. Może nawet nie jest to pół prawdy. Nie będziemy zresztą stosowali prawdomierza. Nie o to chodzi.

„Prawdziwe nieprawdopodobne” jest pierwszą książką Konrada Turowskiego. Jest to zbiór reportaży w większości drukowanych w „Odgłosach”, „Prawie i Życiu”, „Literaturze”. Konrad Turowski szuka bowiem wszelkich możliwości przekazania czytelnikom swoich obserwacji, relacji z najprzeróżniejszych zdarzeń, których albo był świadkiem, albo które odwarzał w mozołnym trudzie reportera. Od wielu lat pracował w „Expressie Ilustrowanym”, współpracował i nadal współpracuje z „Kurierem Polskim”, a obecnie jest pracownikiem „Dziennika Popularnego”.

Reportaże Konrada Turowskiego mają wyraźny charakter rodzajowy. Nie jest to wszakże żaden zarzut. Reporter codziennej gazety stara się poinformować czytelników o tym kto, co, gdzie i kiedy. Konrad Turowski idzie dalej. Zadał pytania: dlaczego, z jakich powodów, jakie były tego motywy? Nie poprzestał na zarejestrowaniu samego faktu, nieustannie szuka, pyta, gromadzi materiał. Jest reporterem niezwykle sumiennym i dociekliwym. Zawsze raz trop nie opuścił go tak długo, aż możliwie wszystkie wiadomości zostaną zarejestrowane na magnetofonowej taśmie, wszystkie fakty znajdują się w jego notesie.

Dwadzieścia trzy reportaże Konrada Turowskiego zebrane w tomie pod tytułem „Prawdziwe nieprawdopodobne” dotyczą różnych dziedzin życia. Jest tam opowieść o Pławie, kobiecie, która na radomskim cmentarzu wybudowała niespotykany grobowiec. Jest relacja z poszukiwań za legendą o pani Walewskiej, jest opowieść o człowieku, który wszedł w gówno, o magistrze, który był szwemem i lekarzem pszczoł jednocześnie i wiele innych relacji o wydarzeniach, które mogą się wydawać nieprawdopodobne a są prawdziwe. Wspólna cecha tych reportaży jest ich dokumentacyjna prawdziwość.

Konrad Turowski nie sili się bowiem na literaturę, nie poddaje dialogiem, nie prezentuje pięknych opisów zrzędoy, nie stara się kreować reportażyowej rzeczywistości. On tylko relacjonuje. Spisuje fakty z taśmy magnetofonowej. Nawet dialog, jeśli się nim posługuje, a robi to dość rzadko, jest tylko poprawionym zapisem. To są niemal oryginalne słowa jego rozmówców, trochę tylko poczysszone, wyłdżone, pozbawione zbyt wyraźnej chropowatości. Dzięki temu reportaże Konrada Turowskiego bliższe są nowoczesnym formom tego gatunku. Dla zwolenników tradycji, którzy nadal zachwycają się „reportażem literackim”, dopuszczalnym fikcją, kreacją i bohaterów składowych — jak to powiada Melchior Wańkowicz — z poszczególnych prawdziwych kamyczków niczem mozaiką, reportaże Konrada Turowskiego mogą wydać się prymitywne. Ale taka ocena byłaby zbyt wielkim uroszczeniem. I niesprawiedliwoscia.

Praca w dzienniku codziennym nauczyła Konrada Turowskiego nie tylko rzetelności w gromadzeniu materiału, ale też zmusiła go do stosowania niezbędnej selekcji. Nauczyła go trudnej sztuki posługiwania się faktem. Dzięki temu jego reportaże są oszczędne w słowie, ledwie okraszane komentarzem. Nieraz aż nazbyt suche. Ale Konrad Turowski wierzy siłę faktu. Wie, że fakt najsilniej przemówi do czytelnika, że silniej od autorskiego komentarza przemawia autentyczna wypowiedź bohatera lub świadka. Wierzy w autentyczność i tej wierze pozostał wierny. I to jest zaleta jego reportaży.

Godna pochwały i uznania jest reporterska dociekliwość autora książki „Prawdziwe nieprawdopodobne”, która każe mu nie poprzestawać na dziennikarskiej notatce, ale dalek szukać, gromadzić materiał. Obraca się on w kręgu spraw codziennych, zwykłych, w których umie dojrzeć to, co może czytelnika zainteresować, co może mu pokazać inny obraz codzienności. Opisywane przez niego sprawy nie są znów takie nadzwyczajne ale uchodzą one często naszej uwadze. Konrad Turowski potrafi te zwykłe sprawy ukazać w innym świetle, dotrzeć do ich źródeł. A przez to czyni je niecodziennymi. I to jest druga zaleta jego reportaży. A śmiem twierdzić, że nigdy by tego nie osiągnął, gdyby nie parzył się gazetowa reporterka, jak również gdyby na niej ledwie nonczestnie.

Zważywszy to wszystko co napisałem trudno byłoby się nie zgodzić, że Konrad Turowski i na bezludnej wyspie znalazłby ciekawy temat do reportażu. Dla mnie jednak oczywistym jest, że najważniejszym źródłem tematów dla Konrada Turowskiego jest nasze codzienne życie. Dlatego nie żyje mu aby wyładować na bezludnej wyspie. Nie żyje tego z nadzieją na jego następny tom reportaży.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Konrad Turowski — „Prawdziwe nieprawdopodobne”. Wydawnictwo Łódzkie 1977, str. 256, cena zł 25,—

ZBIGNIEW S. NOWAK

ŻYCIE JEST FORMĄ ISTNIENIA BIAŁKA...



dr. Helena Obermanowa

Białko jest podstawą życia. To wiedza wszyscy. Białko stanowi zasadniczy i niezbędny element budowy każdej komórki. Z białka organizm buduje lub odnawia zużyte komórki, hormony, enzymy, ciała odpornościowe itd. Zapotrzebowanie organizmu człowieka na białko waha się w pewnych granicach. Człowiek dorosły potrzebuje dziennie 0,4 — 1,2 gram białka na 1 kg wagi ciała. U dzieci i młodzieży zapotrzebowanie to jest dwu- trzykrotnie większe, z uwagi na wzrost i rozwój organizmu. Około 1/3 — 1/2 ogólnej masy tego składnika (1/3 — 3/4 u dzieci i młodzieży) powinno stanowić wysoko-wartościowe białko pochodzenia zwierzęcego.

Białko jest problemem światowym. Świat cierpi na niedobór białka. Według danych FAO (Organizacja Wyżywienia i Rolnictwa ONZ) i WHO (Światowa Organizacja Zdrowia ONZ) ponad 1/3 ludności świata nie odżywia się prawidłowo lub wręcz głoduje, głównie z powodu braku dostatecznej ilości białka w pożywieniu, zwłaszcza białka pochodzenia zwierzęcego. Dzisiejszy światowy deficyt białka sięga 30 mln ton rocznie i wciąż pogłębia się. Problem ten nabiera szczególnej wagi wobec faktu, że według prognozyk demograficznych w roku 2000 liczba ludności świata przekroczy 6 miliardów. Problem narasta...

Czy istnieją realne szanse jego rozwiązania? Prowadzone od wielu lat pod kierownictwem FAO i WHO badania nad spożyciem białka w krajach rozwijających się wykazały, że często przyczyną jego niedoboru w pożywieniu są zwyczaje kulinarne. Są nacje nie jedzące ryb, jaj, mięsa wołowego czy wieprzowego. W wielu przypadkach podniesienie spożycia białka okazało się możliwe jedynie poprzez „przemycenie” pewnych ilości dodatków białkowych do tradycyjnego pożywienia, oczywiście przy zachowaniu jego własności organoleptycznych. Przykładem tego może być spożywanie w krajach latynoamerykańskich produktu przypominającego makę kukurydzianą, sporządzony jednak z kukurydzy i preparatu z ryb.

W Polsce najchętniej akceptowaną formą białka jest mięso wieprzowe; inne wysokobiałkowe artykuły spo-

żywcze mają mniejsze powodzenie. Produkcja białka wieprzowego jednak jest kosztowna. Aby uzyskać 1 kg tego białka, trzeba zużyć około 10 kg białka paszowego, które z kolei stanowi przeciw niewielką tylko część masy paszowej; roślin pastewnych, ziemniaków, zbóż. Paszy potrzeba więc bardzo dużo; przy tym skarmiane w hodowli zboże czy ziemniaki mogłyby same w sobie przynajmniej w części być żywnością dla ludzi 3/4 wszystkich zbóż i ponad 80 proc. ziemniaków wykorzystuje się na paszę w hodowlach. Pasze są wzbogacane dodatkami białkowymi z importu, mączką rybną za dewizy. W sumie tradycyjna produkcja białka zwierzęcego jest bardzo droga, jeśli uwzględnić tu konieczne zużycie energii i białka paszowego, i na dłuższą metę nieopłacalna.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Podniesienie produkcji białka zwierzęcego wymaga intensywnego wzbogacania pasz różnymi komponentami białkowymi. Czyni się to od dawna z różnym powodzeniem, z różnymi efektami, tak hodowlanymi, jak i ekonomicznymi. Rzecz w tym, by owe dodatki białkowe były wydajne w tuczu, łatwo przyswajalne przez organizm zwierzęcy, nadto by ich produkcja była względnie łatwa, tania, możliwa w pożądanych ilościach, przy tym z surowców, których jest pod dostatkiem.

Niegdyś szansę upatrywano w mące rybnej, otrzymywanej z gorzszych gatunków ryb. L'opot w tym



doc. Zdzisław Włodarczyk

jednak, że obecnie w morzach zaczyna pływać więcej trawlerów niż ryb. Nie tędy więc droga...

Z kolei zwrócono uwagę na żyjące w otwartych wodach oceanów małe rączki, z norweska — kryl. Kryl więc, to potencjalnie ogromne rezerwy białka paszowego. Ale jak dotąd tylko potencjalnie. Zasadnicze trudności w wykorzystaniu kryla do wzbogacania pasz, to jego budowa i skład chemiczny. Dużą część masy 10 cm długości skorupiaków stanowi pancerz chitynowo-wapienny. Chityna, podobnie jak celuloza czy lignina, jest niestrawna, przy tym drażni nabłonek śluzowy jelit, obniżając strawność, a więc przyswajanie białka krylowego przez kar-

mione nim zwierzęta hodowlane. Wiele gatunków kryla gromadzi, zamiast tłuszczów, bezużyteczne w tuczu woski. Mączka krylowa ma silny, nieprzyjemny zapach. Tylko jej kolor jest piękny, różowy. Ale takie np. tuczniaki „nie dają się nabrać” na sam tylko kolor. Póki co więc, jeszcze z kryłem poczekajmy...

Obecnie najpoważniejszym obiektem zainteresowania zootechników i hodowców staje się białko z grzybów, zwłaszcza drożdże paszowe. Spełniają one wszystkie warunki poszukiwanych dodatków białkowych do pasz. Do wytwarzania drożdży paszowych dają się wykorzystać w charakterze substancji pożywkowych surowce, których mamy pod dostatkiem, choćby powstające np. w przemyśle przetwórczym, cukrowniczym wreszcie celulozowo-papierniczym — odpady poprodukcyjne, nie nadające się do żywienia zwierząt i ludzi. Nie są to oczywiście jedyny surowce. Nad wykorzystaniem innych, dostępnych w znaczenie większych ilościach, przy tym dostatecznie tanich, prowadzi się wszędzie intensywne badania. Prace tego typu są dość mocno zaawansowane także i w naszych placówkach naukowo-badawczych.

W Łodzi badania nad nowymi metodami wytwarzania drożdży paszowych prowadzone są m. in. w Instytucie Technologii Fermentacji i Mikrobiologii Politechniki Łódzkiej. O informacje na ten temat poprosiłem jego dyrektora — prof. dr Helenę Obermanową, kierownika Zespołu Technologii Produkcji Białka Mikroorganizmów — prof. dr Bolesława Bachmana i bezpośrednio wykonawcę prac dotyczących produkcji drożdży paszowych — doc. dr Zdzisława Włodarczyka?

ZSN: — Jak przedstawiają się aktualne kierunki pracy Instytutu nad nowymi metodami otrzymywania białka paszowego, a konkretnie — drożdży paszowych?

Prof. Obermanowa: — W naszym Instytucie od szeregu lat prowadzone są prace nad produkcją drożdży paszowych w dwóch kierunkach, mianowicie nad wykorzystaniem do tego celu melasy i wywarów gorzelnicznych przy warunkach opłacalnych ekonomicznie, mające również za zadanie ochronę środowiska, ponadto zupełnie oryginalne badania nad wykorzystaniem do produkcji drożdży paszowych nietradycyjnych, niespożywczych surowców, np. metanolu czy różnych frakcji ropy naftowej.

Prof. Bachman: — Wykorzystanie wywarów gorzelnicznych i melasy idzie po linii zwiększenia uzysku substancji organicznej znajdującej się w tych środowiskach, dzięki czemu oczywiście uzyskuje się także i obniżenie zawartości substancji szkodliwych w ściekach. Przechodząc zaś do sprawy stosowania nowych surowców w dziedzinie produkcji drożdży paszowych, mam tu na myśli przede wszystkim jeden z alkoholi otrzymywanych technicznie w większych ilościach, mianowicie metanol. W najbliższych latach z chemicznej obróbki węgla uzyskamy być może nawet do 500 tys. ton metanolu rocznie. To stworzy szeroką bazę dla produkcji drożdży paszowych, pożądaną mniej więcej w podobnych ilościach, tzn. około 300 tys. ton. Będzie to bardzo dużo w porównaniu z naszą aktualną produkcją 40 tys. ton w skali roku.

ZSN: — Jakle korzyści daje produkcja drożdży paszowych właśnie z metanolu?

Prof. Bachman: — Metanol jest stosunkowo prostym związkim chemicznym, sam nie wymaga sterylizacji, wykazuje znaczną rozpuszczalność w wodzie, jest surowcem wybitnie nadającym się do tego celu. Jeżeli zważymy jeszcze, że koszt produkcji jednostki białka z takich jednokomórkowców, jakich używamy do produkcji drożdży paszowych na bazie metanolu, jest 50 razy niższy aniżeli koszt produkcji wołowiny, a 10 razy niższy od kosztów produkcji drobiu czy jaj, stanie się jasne, dlaczego interesujemy się tak bardzo tego rodzaju bazą surowcową. Jeżeli już mowa bezpośrednio o produkcji rolnej, to trzeba zaznaczyć, że koszty produkcji białka zwierzęcego w oparciu o drożdże paszowe z metanolu są znacznie niższe aniżeli w oparciu np. o pszenicę.

ZSN: — Jak daleko są zaawansowane prace?

Prof. Bachman: — Prace nasze są już na etapie zatwierdzonego patentu. Nasze dalsze usiłowania idą w kierunku zwiększenia efektywności ekonomicznej tej produkcji oraz nadania pewnej stabilności całemu procesowi poprzez ugruntowanie pożądanego cech - wykorzystywanych tutaj drobnoustrojów. Problemami tymi zajmuje się już bezpośrednio pani prof. Obermanowa.

ZSN: — A czym zajmuje się zespół kierowany przez pana doc. Włodarczyka?

Doc. Włodarczyk: — Ważnym zadaniem w produkcji białka pa-



doc. Bolesław Bachman

szowego, a mianowicie wytwarzaniem białka drożdżowego z ropy naftowej i jej pochodnych. Znaczenie tego problemu jest dlatego ogromne, ponieważ ropa naftowa jest olbrzymim źródłem surowca. Jej roczna produkcja wynosi obecnie około 3 miliardów ton. Jest to mniej więcej tyle ile wynosi roczna produkcja węgla kamiennego w całym świecie. Intensywne badania nad wykorzystaniem ropy naftowej do produkcji białka paszowego prowadzone są wszędzie od około 20 lat. My w Instytucie pracujemy nad tym zagadnieniem również już od kilkunastu lat, przy czym uzyskaliśmy pozytywne wyniki badań nad możliwością wytwarzania białka paszowego z węglowodorów o wszystkich trzech stanach skupienia.

ZSN: — Na jakim etapie są te badania?

Doc. Włodarczyk: — Można powiedzieć, że technologia produkcji białka z węglowodorów została już niemal całkowicie opanowana. Odpowiednio oczyszczony, gotowy produkt o zawartości około 50 proc. białka jest bardzo zbliżony swym składem chemicznym do tych bliżej znanych nam drożdży, które są wykorzystywane do wypieku ciast względnie chleba. W wyniku bardzo licznych prób uzyskaliśmy pozytywne wyniki pełnej przydatności drożdży paszowych z węglowodorów jako cennego, wartościowego dodatku wzbogacającego pasze. Ciekawostką może być fakt, że pewne wyniki naszych prac świadczą o możliwości dodatku tych drożdży do odpowiednim spreparowaniu do żywności.

ZSN: — Jak kształtuje się strona ekonomiczna produkcji drożdży paszowych z ropy naftowej i jej pochodnych?

Doc. Włodarczyk: — Drożdże węglowodorowe są tańsze nawet niż drożdże produkowane z melasy, wywarów gorzelnicznych, serwatki. Warto tu zaakcentować, że produkcja białka paszowego z surowców nietradycyjnych, jak węglowodorów czy metanolu, posiada bardzo ważne znaczenie antyimportowe. Myśmy importowali różnych pasz tręciwyczych orzykładowo w roku 1960 za około 50 mln zł dewizowych, w roku 1970 już cztery razy więcej, za prawie 200 mln zł dewizowych, zaś w roku 1975 już za 600 mln zł dewizowych. Obecnie ta suma jest jeszcze większa.

ZSN: — Tak więc korzyści w przypadku podjęcia własnej produkcji białka paszowego mogą być ogromne?

Doc. Włodarczyk: — Tak i wszystkie badania w tym zakresie są bardzo opłacalne.

Prof. Obermanowa: — Jeśli już mowa o korzyściach, sądzę, że w pierwszym punkcie należy powiedzieć o bardzo dobrej wydajności produkcji białka z drożdży przy wykorzystaniu surowców, o których była mowa, tzn. metanolu i ropy naftowej. Gdyby to zilustrować liczbami, to jest to wydajność około 500 razy większa niż przy produkcji wołowiny. Białko drożdżowe zajmuje pośrednie miejsce między białkiem zwierzęcym i konwencjonalnym białkiem roślinnym, jest więc w pełni wartościowe. Taki surowiec, jak metanol, nie ma związków toksycznych, nie zanieczyszcza ścieków. Obecne urządzenia drożdżownicze mogą być wykorzystywane do produkcji drożdży paszowych z surowców nietradycyjnych przy minimalnych nakładach inwestycyjnych na adaptację. Jako mikrobiolog, chciałabym tutaj również zaznaczyć, że wykorzystanie metanolu, różnych frakcji ropy naftowej, jak również wielu innych związków chemicznych przez mikroorganizmy jest bardzo łatwe, bowiem drobnoustroje mają wielką zdolność adaptacyjną do tych środowisk i można tymi zdolnościami kierować, można regulować je poprzez pewne działania genetyczne. To stwarza dodatkowe możliwości zwiększenia efektywności tych procesów. Korzyści można by znaleźć znacznie jeszcze więcej, a sprawa produkcji antyimportowej njech będzie tu kluczowym akcentem, gdyby podjąć produkcję takich drożdży paszowych u nas w kraju.

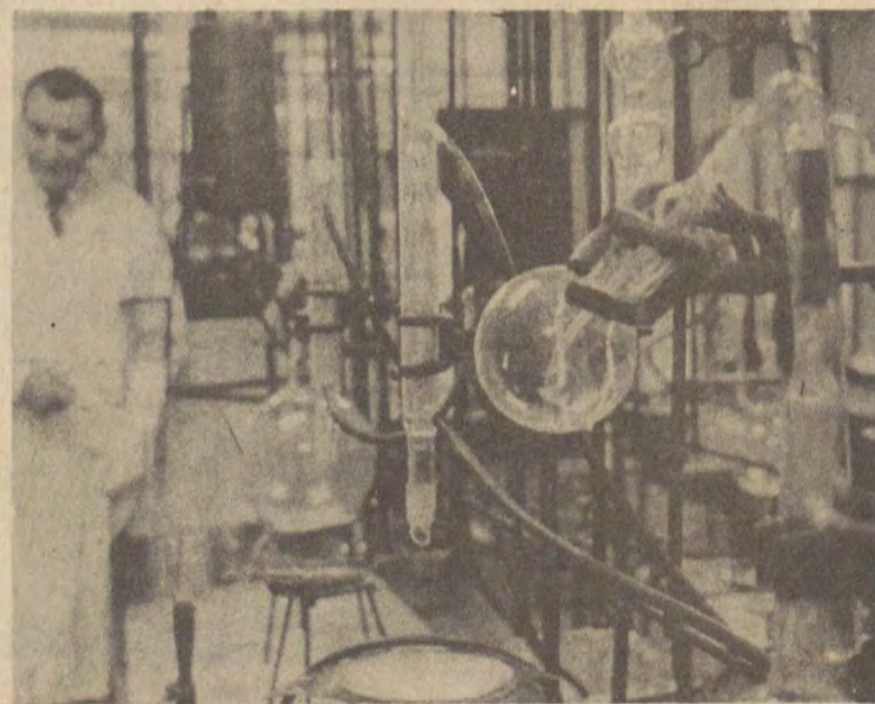
ZSN: — Co więc stoi temu na przeszkodzie?

Doc. Włodarczyk: — Jest wiele fabryk, które mogą być gotowe w krótkim czasie do podjęcia produkcji białka paszowego z metanolu, czy ropy naftowej i jej pochodnych. Jedyną właściwie, nie bardzo racjonalną barierą, która wstrzymuje chwilowo ruch tych fabryk, uruchomienie produkcji, są pewne obciążenia zwyczajowe. Dość powszechnie jestza funkcjonuje przeświadczenie, że ludzie nie bardzo kwapią się do tego, by spożywać mięso zwierząt hodowlanych karmionych drożdżami paszowymi np. z ropy naftowej. Kiedyś panowało podobne uprzedzenie do nawozów sztucznych, ale przecież po pewnym czasie zwyciężyło racjonalne myślenie, rachunek ekonomiczny, oczywiście korzyści społeczne. Mójmy nadzieję, że podobnie będzie i w przypadku drożdży paszowych, o których mowa, ogromnych przecież rezerw cennego białka. A trzeba wyraźnie powiedzieć, że my już w tej chwili znamy takie możliwości oczyszczania białka paszowego, produkowanego np. na bazie ropy naftowej i jej pochodnych, że z powodzeniem można je stosować w tuczu zwierząt z bardzo dobrymi wynikami. Drożdże te można oczyścić w takim stopniu, że są one podobnej czystości, jak te drożdże, które stosuje się do wypieku ciast i chleba, albo nawet czystsze. Pod tym względem problem został całkowicie rozwiązany.

Prof. Bachman: — Podobnie rzecz się ma w przypadku drożdży metanolowych, aczkolwiek prace nad nimi są nieco mniej zaawansowane. Ale z kolei są to drożdże same w sobie dość czyste, a przynajmniej łatwe do oczyszczenia.

Prof. Obermanowa: — Tak więc do pokonania pozostały bariery przede wszystkim psychologicznej natury. Przełamać je trzeba koniecznie, jeśli już mamy mówić o racjonalnym, gospodarskim podejściu do tego problemu. Myślenie takim właśnie kategoriami jest konieczne, zwłaszcza dzisiaj.

Zdjęcia: W. Parys





ANDRZEJ MAKOWIECKI

NIE MA ZGODY W KURYTYBIE (DZIENNIK PODRÓŻY)

Niedziela, 21 sierpnia. Wieczór. Światła Porto Alegre za nami. Jedziemy autobusem towarzystwa komunikacyjnego PLUMA. Czeka nas dwanaście godzin podróży drogą, która miejscami tonie we mgłę. Siedzimy, a właściwie leżymy w wygodnych, rozkładanych fotelach lotniczych, ciągle jeszcze rozpamiętując troskliwą gościnność Zenona Galeckiego i Janiny Figurskiej. Zostaliśmy sówicie obdarowani — owoce, kanapki, napoje, płyty z ludową muzyką brazylijską, pamiątkowe proporcjonalnie SOCIEDADE POLONIA, a także torba ze znakiem firmowym tego Towarzystwa. Jeśli wszystko skończy się pomyślnie, musimy zorganizować w kraju piękny rewanż — przesłać Figurskiej trochę pocztówek i książek, a Galeckiemu albumy i płyty z polskim folklorem...

Córka pani Figurskiej, Helena dzwoniła w naszej sprawie do Kurytyby. Ma tam po nas przyjechać na dworzec pewien polski inżynier. Świadomość, że nie jedziemy w ciemno, łagodni nasze zdenerwowanie. Jedno jest pewne: kłamka zapadł jutro, w poniedziałek, GALCZYŃSKI opuści Rio Grande i uda się w czterodobową podróż do Salvadoru. Od tej pory nie mamy już gdzie wracać. Od tej pory możemy tylko gonić!

Niedziela, 21 sierpnia. Noc. Pluma, co znaczy po portugalsku „puch”, zatrzymuje się po czterech godzinach drogi na specjalnym przystanku. Z reguły takie przystanki są co cztery godziny — tyle może bez przerwy jechać kierowca. Na takim przystanku odbywa się półgodzinny postój — kierowca wysiada i albo rusza momentalnie spać do motelu, zaś jego miejsce zajmuje kolega, albo też idzie się przebrać i coś zjeść, podczas gdy do opróżnionego autobusu wchodził mechanik i odprowadza pojazd na szybki przegląd techniczny lub tankowanie paliwa. Brazylijscy kierowcy, i to ze wszystkich bez wyjątku Towarzystw, szokują! Po każdym postoju widzisz całkiem jakby innego, przystojnego, młodego najczęściej człowieka, w żółtej, idealnie czystej i doskonale wyprasowanej koszuli z mankietami, w których blizsza złote spinki firmowe, w gustownym, szeregim krawacie firmowym, w modnych bezwycich spodniach firmowych, spitych modnym firmowym paskiem. Człowiek ten wygląda jak dbający o popularność amant (filmowy) — wstydając wszystkich pozdrowia i uśmiecha się do wszystkich, przy czym, z grafikami w ręku, sprawdza czy pasażerowie wrócili już z baru i umywalni, czy przypadkiem kogoś nie brakuje.

Bar szybkiej obsługi, restauracja, toalety, umywalnie, motel, szeroki i długi dach, który chroni autobusy przed słońcem i deszczem, sklep z pamiątkami, stacja benzynowa, kanał naprawczy oraz posterunek policji — oto, co znajduje się na każdym takim dalekobieźnym przystanku. Napisałem już o Brazylii wiele gorzkich słów, ale linie autobusowe są tu naprawdę wspaniałe. Bez wątpliwości ma na to wpływ brak kolei, która kursuje tylko w nielicznych stanach na krótkich odcinkach, wlecze się strasznie i jest całkiem niepopularna. Autobusem możesz dostać się wszędzie: z Rio de Janeiro do Buenos Aires,

z Sao Paulo do Montevideo — taki smok na licencji amerykańskiej ma zazwyczaj dwie wersje: sześćdziesięciocieczerosobową „siedzącą” i trzydziestoduosobową „sypialną”, w której między jednym siedzeniem a drugim pozostaje dużo wolnej przestrzeni, rozkładany fotel zamienia się w łóżko (oczywiście, poduszka, prześcieradło i koc), szyby z przyćmionego szkła i grube firanki zapewniają przyjemny półmrok, klimatyzacja pozwala znieść największe upały, w tym mieście się toalety. Bilet sypialny kosztuje akurat dwa razy drożej niż zwykły. Aha, nawet kierowca ma swoje miejsce do spania: jeden przez cztery godziny prowadzi, drugi w tym czasie śpi na rozkładanym fotelu w szoferce; potem się zmieniają.

Jeszcze jedno: obydwie wersje i zwykle jeszcze trzeci autobus (niekiedy niecznie tego samego Towarzystwa) ruszają o tej samej porze ze stacji początkowej i przez całą drogę ściśle ze sobą współpracują. Jeśli któremś coś nawali — zatrzymują się wszystkie trzy. Jeśli jest mgła, a w sierpniu najczęściej jest, zmieniają się co pewien czas na prowadzących naby kolarze w peletonie. Na każdym dalekobieźnym przystanku odpoczywają obok siebie pod daszkiem i — fantastycznie! — nigdy się nie spóźniają. Szlag człowieka trafia, jeśli przypomniał sobie naszych polskich kierowców — zarosniętych, niedospanych, mrkających, przejeżdżających parę kilometrów i już jest zmęczony; przysięgną głową na kierowcy albo zatrzyma się w jakimś małym miasteczku, beknie: „Pięć minut przerwy” i zasmodzi papierosem cały wóz.

I jeszcze jedno: Brazylijczycy, w większości ludność kolorowa i uboga, wyskakują w trakcie tych postojów do umywalni z ręcznikiem i szczotką do zębów. Dopiero później idą do baru na kawę i przekąskę. Podobny instynkt samozachowawczy nakazuje Brazylijczykom korzystać z wody tak często, jak tylko można, w tym klimacie bowiem nietrudno o infekcje i wrzody. Doprawdy — wspaniały to nawyk! Brazylijskie autobusy nie cuchną!

Poniedziałek, 22 sierpnia. Rano. Zbliżamy się do Kurytyby. Jesteśmy już po śniadaniu, na które złożyła się puszka baltonowskich parówek ze statku oraz pieczywo i owoce od pani Figurskiej. Polykam również na wszelki wypadek dwie przeciwmalariacyjne tabletki arechiny.

Jak większość stacji autobusowych, i ta w Kurytybie leży na peryferiach miasta.

Wysiadamy i rozglądamy się wokół. Zajmujemy miejsce na postojach taksówek. Skoro nie ma naszego inżyniera, musimy odwiedzić go w domu... Podjeżdża volkwagen. W większości brazylijskich miast własne licencyjne volkwageny pełnią funkcję taksówek, a pomalowane są jednolicie. Podajemy kierowcy adres. Nie zna. A licznik cyka.

— To co będzie, senhor?
— Zaraz.
Zatrzymuje samochód, który pokonał w sumie z osiemdziesiąt metrów i spieszy po radę do innego taksówkarza.

Licznik cyka.
Ten drugi taksówkarz, wykonuje ręką nieokreślony gest, który w przetłumaczeniu na

słowa znaczy zapewne: „Nie tam się, kolego! Przewieź trochę frajerów po mieście, w końcu trafisz”.

Jak tak dalej będzie cykał, to nas wycał. Ten licznik... Daje facetowi dziesięć kruczerów i wracamy na dworzec.

Zona dzwoni do inżyniera z automatu. W pół godziny później siedzimy już w jego samochodzie. Sympatyczny mężczyzna. Poznaliśmy. Owdowiał niedawno i ożenił się po raz drugi.

— Widzicie to ostędzie? — pokazuje blok.
— Podobne trochę do naszych w Łodzi.
— Mojego projektu. Miałem tam kupić mieszkanie, ale za dużo chcieli.

Zaprojektował i postawił sobie własny dom. Bardzo gustowny, piętrotowy, z pattem, dwiema łazienkami, obszernym sitting roomem, niewielką kuchnią i ciuraską (popularne w Argentynie i Brazylii pomieszczenie, gdzie pieczę się na rożnie befsztyki), która znajduje się w osobnej przybudówce. Każdą wolną chwilę poświęca na wykafezianie mieszkanca. Większość prac wykonuje własnymi rękami. Kafelkuje, kładzie tapety i boazerie, sadii drzewa w małym ogródku. Widać, że jest to jego życiowa pasja.

Przedstawia nam swoją rodzinę: żonę, dwie córki, z których jedna mówi świetnie po polsku, a druga w ogóle, oraz teściową — niezwykle serdeczną niewiastę. Sam, niestety, musi już pędzić do pracy, tu równieć podpisuje się listę. Zobaczymy się po południu, w przerwie obiadowej. Tymczasem — czujcie się jak w domu!

Teściowa częstuje nas śniadaniem. Pochodzi z kresów. Przyjechała tu jak miała kilka lat. Słysząc mój zachrypnięty głos przygotowuje mi specjalną brazylijską miksturę do płukania gardła. Jak większość mieszkających tu Polaków wypytuje, czy to prawda, że tam u nas, w Europie, pada jeszcze zimą śnieg.

— No, pewnie, że pada!
— Taki porządny?
— Dwumetrowy.

Słucha tego jak bajki. U nich, w Paranie, też spadł śnieg. Dokładnie: w sierpniu ubiegłego roku. Ależ to była sensacja! Ludzie wykupili ze sklepów wszystkie aparaty fotograficzne i filmy. Ukazały się specjalne gazety i pocztówki. Ogłoszono dzień wolny od pracy. Całe miasto bawiło się jak w karnawale. Tańce, śmiechy. Wielka radość! Nikt przedtem nie widział tu śniegu, nikt nie wierzył, że coś takiego istnieje. Jedna dziewczyna, której akurat w tym czasie przyszło wyjechać z Kurytyby i nie wdziała białego szaleństwa, popełniła z rozpaczy samobójstwo.

Zona dzwoni do konsulatu. Rozmawia z konsulem handlowym. Prosi go, aby porozumiał się z jakimkolwiek agentem PLO i pomógł nam ustalić pozycję GALCZYŃSKIEGO. Naier uprzejmy konsul przyrzeka załatwić tę sprawę, jednakże wyraża zdziwienie, że nie złożyliśmy jeszcze wizyty konsulowi generalnemu. Robi nam się ciepło na sercu, albowiem obaj konsulowie wiedzą już o naszej eskapadzie. Ktoś ich powiadomił i bardzo chcą nas zobaczyć. Umawiamy się na piętnastą.

Poniedziałek, 22 sierpnia. Popołudnie. W odprasowanych strojach, stroszonych do okoliczności i upału, wysiadamy przed bramą Konsulatu Polskiego w Kurytybie. Jest to niewielki, lecz bardzo piękny budynek w eleganckiej dzielnicy. Brama też jest nieposłledniej urody: artystycznie rzeźbiona, z akcentami barwnych herbów polskich. Inżynier, który towarzyszy nam wraz z małżonką, wyjaśnia, że twórcą bramy jest jego ojciec, utalentowany rzemieślnik.

Krótką rozmową przez domofon i wchodzimy do środka, witani przez konsula generalnego, pana Piotra Kirpluka, postawnego, wysokiego, ogorzonego mężczyznę z bujnymi siwymi włosami. Jest już po godzinach urzędowania i pan konsul osobiście pełni obowiązki gospodarza, częstując nas słodyczkami i kawą. Panuje przy tym atmosfera niewymuszonej serdeczności, gdyż konsul od dawna pozostaje w przyjacielskich stosunkach z inżynierem i jego rodziną.

Po raz drugi robi nam się słodko na sercu, kiedy słyszymy, że nasza eskapada zyskała już sobie dużą popularność. Niby podróżujemy samotnie, ale gdzieś tam w eterze krzyżują się telefony, towarzyszy nam łańcuch dobrej woli.

— Dzwonił w waszej sprawie Galecki z Porto Alegre i Cichy z Santosu. Pytał się także o pana konsul z Sao Paulo.

— Wie pan — mówię — Jestem naprawdę wzruszony.

— Dacie sobie jakoś radę?
— Musimy.

— Zatrzymacie się w Sao Paulo?
— Chyba nie. Mamy już uraz na punkcie tego miasta. Pojeździemy bezpośrednio do Rio de Janeiro.

— Znaacie tam kogoś?
— Nie. Znamy tylko telefon agenta Polskich Linii Oceanicznych, pana Gołubiewskiego. Chcielibyśmy już dzisiaj do niego zatelefonować, żeby ustalić pozycję GALCZYŃSKIEGO. Niepokoił się trochę.

Pan konsul podchodzi do telefonu i łączy się z nacelnym agentem PLO na całą Amerykę Południową, którym jest pan Cichy z Santosu. Rozmowa. Jasne, że Cichy o Makowieckich pamięta! Niech im tam szczęście sprzyja. Co do GALCZYŃSKIEGO, miał wyjść dzisiaj z Rio Grande, ale czy na pewno wyszedł, nie wiadomo. Chodzi o to, że po paru pięknych dniach, wczoraj, w niedzielę, lunaj tam poroć straszny deszcz, a w taką pogodę nie można przecieć ladować... Ale spokojnie, spokojnie. Do jutra pan Cichy wszystko będzie wiedział i da znać agentowi Gołubiewskiemu w Rio, jaka jest aktualna pozycja statku. W

rozkładzie nic się na razie nie zmieniło. Salvador. Na pewno Salvador. Myśl, że my tu sobie pijemy kawę, a GALCZYŃSKI zaczyna nas doganiać, elektryzuje mnie trochę. Ale los niebawem zysła mi pociechę. Przychodzi pan konsul handlowy z małżonką, a owa pani, wprowadzona już w szczegóły naszej wyprawy, udziela nam zbawiennych rad:

— Hotele w Rio są drogie. Myślę, że nim zdecydujecie się na hotel, powinniście państwo zatelefonować przedtem do Polskiego Radcostwa Handlowego i porozmawiać z panem Janem Kochańcem. Jest to ogromnie życzliwy i uczynny człowiek. Pomóżcie nam!

Rozmowa zbacza na tematy polonijne. Notuję: w Paranie, której stolicą jest Kurytyba, żyje około 300—400 tysięcy Polaków, więcej niż w jakimkolwiek innym stanie, i dlatego tutaj znajduje się Konsulat Generalny. Na drugim miejscu jest Rio Grande do Sul — 180 tysięcy, a na trzecim Santa Catarina — 120 tysięcy. Nie są to, oczywiście, ściśle i oficjalne dane, nie prowadzi się przecież spisów, wielu Polaków pozostaje poza wszelkimi Towarzystwami i Klubami polonijnymi, wielu pozmięniało nazwiska, mieszając się z Wiochami, Niemcami i Brazylijczykami. Imiona też nie zawsze rozstrzygają kwestię pochodzenia. Dygresja: tu, w Brazylii, każdy może sobie przybrać dowolne i najbardziej wymyślne imię. Jakis adwokat ochrzcil się jako Dante Alighieri, jakis poeta jako Petrarca. Jest także Pele oraz Lenin i Stalin. Ci dwaj ostatni, wobec antykomunistycznych represji władz, zaraz po „chrzcie” poszli do więzienia, ale po odsiedzeniu wyroków noszą swoje imiona-sztandary do dzisiaj.

Wedle inżyniera, wszystkie cztery towarzystwa polonijne w Kurytybie są ze sobą bardzo skłócone. Najbardziej postępowi i zaprzyjaźnieni z Polską Ludową „Kościszewscy” są bojkotowani przez „Piłsudczyków”, ci zaś prowadzą otwartą wojnę z „Londyńczykami”. „Londyńczycy” z kolei rozpadli się na dwie oddzielne, zwalczające się frakcje, z których tylko jedna uznaje Sikorskiego.

Konsulat stara się skonsolidować Polonię, popiera więc wszelkie akcje kulturalne i propagandowe, roztacza mecenat nad zespolami artystycznymi, troszczy się o szkoły, a nawet o księży nauczających języka polskiego. Każde urodzone tu dziecko, które nauczy się mówić i czytać po polsku, to już duży sukces. Przetraw, to zachowaj języki!

Polonia jest czasami bardzo drażliwa. Rok temu miał ukazać się „Panoramie Północny” artykuł o środowisku polonijnym w Rio Grande, przygotowany przez tamtejszych działaczy. Czekali owi działacze na druk i czekali. Po paru miesiącach nerwowego wyczekiwania skierowali pełen najwyższego oburzenia list na ręce konsula generalnego w Kurytybie, jego właśnie czyniąc winnym za opięszczość polskich redaktorów. Piotr Kirpluk tłumaczył im, że nie ma wpływu na decyzje programowe kierownictwa „Panoramy”. Swoją drogą — robił wszystko, aby zlikwidować incydent. Niedawno otrzymał kolejny list z Rio Grande, w którym Towarzystwo przenasza go i, równocześnie, z zadowoleniem informuje, iż sprawa druku w „Panoramie” nabiera rumieńców...

Wynika stąd moral: jeśli jesteś za granicą, i przyrzekasz coś komukolwiek, dotrzymuj obietnicy! Albo, po prostu, nie przyrzekaj!

(c.d.n.)

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka



